

Komik z sercem
Adam Van Bendler
pomaga zwierzętom
STR. 10

Tańczyć jak Jackson
Spełnia się wszystko,
o czym pomyśli
STR. 14

Ksylofon bez tajemnic
Jacek Chojnacki
– z muzyką przez życie
STR. 20

Afirmacja życia
O pasji i pragnieniu
artystycznej ekspresji
STR. 34

KWIECIEŃ

MIASTO PLUS

Nr 3/2021 (77)

Wydanie bezpłatne • ISSN 2392-3385

www.miesto.koszalin.pl



**Z optymizmem
patrzą w przyszłość**



P O M O R S K I E
**SKŁADY
DREWNA**



Drzwi i podłogi

VOX

Pomorskie Składy Drewna oferują m.in.:

- Drewno konstrukcyjne C24
- Drewno KVH
- Drewno budowlane
- Boazerie
- Podbitki
- Taras modrzewiowy i sosnowy
- Płyty OSB, MFP, wiórowe, meblowe
- Sklejki liściaste i iglaste
- Sklejki szalunkowe
- Listwy drewniane
- Schody i stopnie schodowe
- Błaty klejone dąb, buk, sosna
- Podłogi drewniane
- Barlineckie deski podłogowe
- Panele podłogowe
- Drzwi wewnętrzne i zewnętrzne
- Impregnaty Koopmans
- Usługa cięcia i transportu

Koszalin, ul. Bohaterów Warszawy 5 • tel. 94 343 20 10

Godziny otwarcia: poniedziałek – piątek 8.00-16.00, sobota 8.00-14.00



TELEWIZJA
KABŁOWA KOSZALIN
SPÓŁKA z o.o.

Prędkość, moc, stabilność – to światłowód do 1 Gigabita

w Telewizji Kablowej Koszalin.
Dołącz do szybkich i ... najszybszych w mieście
według rankingu speedtestu.pl



Zapytaj o ofertę w Biurze Obsługi Klienta:

TKK Sp. z o.o. ul. Kotarbińskiego 3, 75-352 Koszalin
tel. 94 720 20 20 www.tkk.net.pl

Według rankingu speedtest.pl –
testy przeprowadzono od 01.01.2019 r. do 31.05.2019 r.

KWIECIEŃ PLECIŃ...

Się plecie... powoli, ale skutecznie. Ciepłej nam się robi w przyrodzie, niektórym też... ciepłej w sercu, bo przecież wiosna do podrygów serca zobowiązuje. Radości wokół ciągle jeszcze mało, bo pandemia straszy, ale trzeba robić, co tylko w mocy, żeby jakoś się nie dać. My proponujemy małe oderwanie od trudności codziennego dnia i zagłębić się w lekturze.

A na naszych comiesięcznych łamach jest o czym czytać... Oprócz historii czworga zarządzających znaną koszalińską firmą (temat z okładki) prezentujemy jeszcze wiele ciekawych postaci.

Magdalena Wojtaszek rozmawiała ze znanym stand-uperem (to słowo do mnie nie przemawia, wolę nieco staromodne – komikiem) nie o rozśmieszaniu ludzi, ale o charytatywnej działalności. Adam Van Bendler jest mianowicie dobrym duchem wszystkich zapomnianych, zabiedzonych, samotnych zwierząt czy tych tylko, które chwilowo potrzebują pomocy. Widząc, że system nie bierze pod swoje skrzydła braci mniejszych, postanowił stworzyć aplikację, która będzie niosła pomoc w drogowych wypadkach czy w przypadkach cierpienia zwierząt z ręki człowieka (czego, niestety, w ostatnim czasie doświadczają nawet ze strony tych, którzy powinni świecić przykładem). Żeby taka pomoc się rozpoczęła, potrzebne są pieniądze. Każdy może dołożyć trzy grosze, wpłacając je na ten szczytny cel.

W kwietniu swoje święto obchodzą tancerze. W tym numerze dwie taneczne rozmowy – z Dianą Staniszwską, która zaraziła młodych koszalinian miłością do twórczości Michaela Jacksona, a teraz trenuje młode kadry, i z Grażyną Mulczyk-Skarżyńską, choreograf-

ką, dla której taniec jest lekiem na całe zło tego niedoskonałego świata.

Pozostając w sferze muzyki, proponujemy zapoznanie się ze specyfiką... ksylofonu. Dana Jurszewicz wypytała o ten instrument naszego kolejnego bohatera – Jacka Chojnackiego, a on szczerze i wyczerpująco na pytania odpowiedział.

Wiem, wiem, nie możemy wsiąść do samolotu byle jakiego... Ale kto zabroni nam marzyć? Dlatego proponujemy po raz kolejny odwiedzić Holandię. Tym razem jedziemy szlakiem... wiatraków, bo z nich też słynie ten kraj. A komu nie wystarczy europejska podróż – proponujemy krótki, acz treściwy, wypad do Nowego Jorku. Może tylko w wyobraźni, ale lepsza taka podróż niż żadna, a piękne zdjęcia podróżników dopełnią całości.

Dla miłośników kulinariów mamy tym razem potrawy kuchni indyjskiej, a właściwie inspirowane tą kuchnią. W końcu, jeśli siedzimy w domu więcej niż zwykle, możemy sobie popichcić.

Dla miłośników historii – opowieść o Świętym Graalu.

Jest co czytać, mamy nadzieję, że nasza lektura zabierze Państwa w bardziej kolorowy. Lepszy świat niż ten, który – ciągle w pandemii – nas otacza.

Pięknego kwietnia Państwu życzę, żeby plótt w naszych głowach same wspaniałości i pozwolił cieszyć się ciepłem, świeżością barw i oddechem natury. Bo tego nam wszystkim bardzo potrzeba.

Miłej lektury!

Joanna Wyrzykowska
redaktorka naczelna



DZIAŁO SIĘ W MARCU:



Kolejne pomysły do najnowszej edycji KBO już zgłoszone, wciąż trwa ich ocena. Głosowanie na inicjatywy osiedlowe potrwa od 1 czerwca do 17 września br., a na pomysły ogólnomiejscowe od 21 września do 12 października br.



Nie trzeba być bohaterem, by pomagać. Udowodniła to właścicielka „Pracowni Fryzjerskiej” Monika Duda. Przez jeden dzień strzygła wraz z zespołem za darmo i zbierała datki na rzecz hospicjum. W akcję pomocy zaangażowała też wiele innych osób i firmy.



Bałtyk potrzebuje natychmiastowej pomocy. Działania człowieka znacznie wpłynęły na tę sytuację. Zwrócić uwagę na ten problem pomogła akcja WWF „Godzina dla Ziemi”. Na stronie instytucji wciąż można podpisać petycję do premiera RP przedstawiającą te problemy i propozycje ich rozwiązań.



Po raz kolejny koszalińskie sokoły dały nam powód do dumy! Wiadomo już, że będzie kolejny miot. Co więcej, teraz także ptaki te, urzędujące w MEC-u, będzie można podglądać dzięki specjalnej kamerze.



To minus ogólnopolski. Ale nie sposób go przemilczeć i udawać, że sprawy nie ma. Antybohaterów jest dwoje - były senator i pani softys. Oboje, w odstępie kilkudniowym, wykazali się wyjątkowym bestialstwem, zamęczając swoje psy. Darujmy szczegóły. Fakt pozostaje faktem - w ludziach jest czyste zło. Wierzyć się nie chce, że mogło dojść do takiej sytuacji.



Pandemia wciąż trwa. Raz wracamy do obostrzeń, raz od nich odchodzimy. Doczekaliśmy się otwarcia instytucji kultury, by za chwilę usłyszeć, że ponownie mają zostać zamknięte. Także wszystkie dzieci, także te najmłodsze, wróciły do domów, aby uczyć się zdalnie. Nie pomaga też bałagan z terminarzem szczepień. Czy wszystkim wystarczy cierpliwości?



W mieście nie brakuje ciekawych przykładów architektury ukrytych, niestety, pod wielkimi szyldami czy bannerami. Zresztą także zdezelowane słupy ogłoszeniowe potrafią zepsuć krajobraz w niejednym miejscu w Koszalinie. Wciąż brakuje jednak konkretnych działań, które polepszyłyby tę sytuację.

MIASTOPLUS

tel. 94 720 24 00, fax 94 720 24 19
redakcja@miasto.koszalin.pl

Redaktor naczelna:
Joanna Wyrzykowska

Redakcja: Radosław Czerwiński, Dana Jurszewicz, Ewa Marczak, Izabela Nowak, Robert Nawrocki, Magda Pater (foto), Mateusz Prus, Alicja Tułnowska, Tomasz Wojciechowski, Magdalena Wojtaszek

Dział reklamy:

Ewa Langner, tel. 94 720 23 06, ewa@tkk.net.pl
Wioleta Saferska, tel. 94 720 24 10, wioleta.saferska@miasto.koszalin.pl
Agnieszka Szkapicz, tel. 94 720 24 11, agnieszka.szkapicz@miasto.koszalin.pl

Wydawca:

Telewizja Kablowa Koszalin Sp. z o.o.
ul. Kotarbińskiego 3,
75-352 Koszalin
tel. 94 720 23 00, fax 94 720 23 33

Grafik:

Piotr Witkowski

B+M-med

CENTRUM MEDYCZNE

*Nowoczesny sprzęt
i dobrze wykształcona
kadra!*

- **chirurgia naczyniowa i ogólna**
(w tym konsultacje chirurgiczne, badanie USG Doppler)
- **anestezjologia, medycyna bólu**
- **ortopedia i traumatologia narządu ruchu**
- **fizjoterapia** (20 różnych zabiegów od laseroterapii po masaż klasyczny i ultradźwięki)
- **radiologia i diagnostyka obrazowa**
- **urologia**
- **kardiologia** (w tym echo serca, EKG)
- **dermatologia – wenerologia**
- **pulmonologia**
- **neurologia, logopedia**
- **gastrologia** (gastroskopia, kolonoskopia)



Centrum Medyczne BiM-med Koszalin

ul. Kościuszki 2, 75-402 Koszalin • pn-pt 9.00-20.00

Rejestracja telefoniczna pn-pt 15.00-20.00 • 94/717-07-70 • rejestracja@bim-med.pl

CZTERECH WSPANIAŁYCH Z EKOWODROLU

Zarządzanie tak dużą i znaną firmą, jaką jest koszaliński EkoWodrol, to nie lada wyzwanie i odpowiedzialność. Ale nowy, czteroosobowy zarząd nie boi się wyzwiań. Prezes EkoWodrolu Kamil Dzikiewicz, wiceprezes Rafał Wojciechowski oraz członkowie zarządu Karol Królak i Konrad Chudzik z optymizmem patrzą w przyszłość mimo trudnej dla biznesu covidowej rzeczywistości. Są młodzi, uśmiechnięci i pracowici. W lipcu ubiegłego roku objęli stery w EkoWodrolu, wytyczając nowe kierunki rozwoju.

Tekst: Tomasz Wojciechowski
Zdjęcia: Magda Pater, archiwum

EkoWodrol jakiś czas temu obchodził 60-lecie swojego istnienia i firma wpisała się przez ten czas w krajobraz gospodarczy nie tylko regionu i Polski. Ponieważ jednak nadszedł czas na zmianę pokoleniową, musiała pojawić się oczywiście świeża krew. Ale nie obca, gdyż cała czwórka naszych bohaterów związana jest z EkoWodrolem od początku swojej kariery zawodowej. Jak sami podkreślają, znają firmę od podszewki i fakt, że to ich wyznaczono na tak ważne stanowiska jest powodem do dumy i zaufania, jakie się z tym wiąże. A warto dodać, że panowie zaczęli w EkoWodrolu od najniższych stanowisk, pnąc się po szczeblach kariery zawodowej przez kierowników robót i szefów działów.

Jacy są? Zarząd EkoWodrolu to z pewnością ludzie z poczuciem humoru, otwarci na nowości, tryskający pozytywną energią i pozbawieni biznesowej sztuczności, co widać choćby w ubiorze czy w swobodnej konwersacji. Są autentyczni, a to dziś rzadkość. – EkoWodrol to ludzie, zespół, ale też nasi partnerzy biznesowi, kontrahenci – podsumowuje działalność EkoWodrolu prezes Kamil Dzikiewicz. Jak sam dodaje, ma to być miejsce, do którego będzie się chciało przyjść i pracować, a jednocześnie dbać o swój rozwój. – Dla nas największą wartością jest bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo pracowników, inwestorów, podwykonawców i klientów. Jesteśmy dla naszych kontrahentów partnerem, nie zostawimy inwestora samego sobie, gdy pojawi się jakiś problem. Chcemy być firmą pierwszego wyboru w każdym możliwym aspekcie działania – mówi.

– Tworzymy przyjazne środowisko, w dosłownym tego słowa znaczeniu – wyjaśnia wiceprezes Rafał Wojciechowski. – Co oznacza troskę o środowisko, o pracowników i o atmosferę w fir-





mie, o nasze otoczenie i naszą działalność, dzięki której czynimy świat chociaż trochę lepszym.

W ŚWIECIE BIZNESU

EkoWodrol to dziś firma zatrudniająca blisko 190 osób. Obecnie ma dobrą pozycję na rynku, co nie znaczy, że jej szefostwo nie myśli o dalszej ekspansji. Wyniki ekonomiczne oraz portfel robót pozwala na optymizm, mimo trudnego covidowego czasu. Zarząd firmy myśli już o inwestycjach i realizacjach na 2022, a nawet 2023 rok. – Nasza firma nie jest ani duża, ani mała, co stanowi wyzwanie w postępowaniach publicznych. Ciężko nam konkurować z małymi, kilkuosobowymi firmami – twierdzi Konrad Chudzik, dodając jednocześnie, że EkoWodrol stawia na rozwój nowych dziedzin, przemysł i pozyskanie zleceń z sektora prywatnego, a sprzedaż innowacyjnych rozwiązań obejmuje cały świat.

EkoWodrol do tej pory w głównej mierze zajmował się realizacjami dla sektora publicznego, co wiązało się z koniecznością wygrywania przetargów. Rafał Wojciechowski dodaje, że rynek ma swoje wzloty i spadki, zatem warto zaważać o klienta prywatnego, indywidualnego. I udało się to osiągnąć. – Klienci indywidualni, instalatorzy korzystają z rozbudowanej oferty hurtowni materiałów instalacyjnych, z 3,5 tys. produktów dostępnych od ręki. Eksportujemy nasze produkty do ponad 25 krajów na świecie, a obecnie skupiamy się na USA. W czasie gdy rozmawiamy, w stronę Stanów Zjednoczonych płynie kontenerowiec pełen naszych zaworów zwrotnych do ścieków, które planujemy

sprzedać w rozbudowanej sieci dystrybucji, która obecnie pokrywa swoim zasięgiem 15 stanów USA oraz 4 prowincje Kanady – podsumowuje prezes Dzikiewicz.

ZGRANA EKIPA

Czy jednak bez większych problemów panowie odnaleźli się w nowej, zarządczej roli i nowych obowiązkach? – Na początku, owszem, trudno było się przestawić, ze względu na duży rozrzut zadań, obowiązków. Ja lubię systemową, zorganizowaną pracę i tak staram się dalej działać, tym bardziej że kieruję najlicniejszym działem w firmie. Odpowiadam m.in. za stacje uzdatniania wody, realizację robót sieciowych, sprawy organizacyjne z tym związane. Czasem są to prozaiczne sprawy, ale układają się w dużą całość – opowiada Karol Królak.

Swoimi wrażeniami dzieli się także prezes zarządu. – W firmie kierowałem dotychczas działem instalacji wewnętrznych, gdzie zajmowałem się sprawami bardziej technicznymi i zarządzaniem ludźmi, teraz jako prezesa czekają mnie wyzwania bardziej ze sfery ekonomii, prowadzenia firmy, całe to administrowanie mówi Kamil Dzikiewicz.

W praktyce członkowie zarządu sami podzielili sobie zakres odpowiedzialności i kompetencje. W jaki sposób? – Kamil pozyskuje z rynku informacje i potencjalnych kontrahentów, potem Karol i Rafał dopracowują szczegóły, przygotowują rozwiązania i sposoby realizacji. Ja dbam o marketing i PR w naszej firmie, zajmuję się sprzedażą innowacyjnych produktów, realizacją strategii EkoWodrolu – tłumaczy Konrad Chudzik.





Cała czwórka przyznaje, że udało im się zgrać razem, dogadują się ze sobą i szanują różne punkty widzenia, które czasami się pojawiają. Cztery osoby to cztery różne osobowości, różne temperamy, które jednocześnie dbają o to, by EkoWodrol rozwijał się i szedł do przodu. – Dywersyfikacja, zarówno w pracy zarządu, jak i w ofercie, to mocna strona EkoWodrolu. Jesteśmy firmą z nietypową strukturą. Otóż mamy rozbudowane wewnętrzne działy. Każdy z nich jest w dużej mierze samowystarczalny, kierują nimi dyrektorzy, mający dużą swobodę w działaniu i podejmowaniu decyzji, to pomaga – przyznaje prezes Dzikiewicz.

– Podział zadań w sposób naturalny wypracowaliśmy sobie sami, biorąc pod uwagę nasze dotychczasowe doświadczenie zawodowe w EkoWodrolu, to, czym się zajmowaliśmy – dodaje Karol Królak.

NIEZAWODNI I KREATYWNI

– Często to samo życie weryfikuje wiedzę i zdolności menedżerskie. Tak było w wypadku współpracy z poznańskimi wiodącymi, zainteresowanymi najnowszym produktem firmy – przedmuchem rurociągów tłocznych pod marką Bezemisijny Transport Ścieków BTS. Ostatecznie firma Aquanet została naszym klientem, jej przedstawiciele byli pod wrażeniem wiedzy i znajomości tematu przez Rafała. Odpowiedział na wszystkie pytania, które padały i to zrobiło duże wrażenie – chwali Rafała Wojciechowskiego koleżdy z zarządu.

Nowe rozwiązania i technologie to konkretne projekty, nad którymi pracują specjaliści z EkoWodrolu. Są to np. tak tajem-

niczo brzmiące nazwy jak spawanie orbitalne czy projektowanie BIM. To ostatnie to nic innego jak skanowanie 3D budynków, modelowanie budynków w wirtualnej rzeczywistości. Tak zwany reverse engineering to najprościej tłumacząc środowisko rzeczywiste przeniesione do środowiska wirtualnego. Cyfryzacja projektów w technologii 3D znacznie ułatwia proces projektowania instalacji.

Żyjemy obecnie w świecie internetu i zdalnej komunikacji, co spotęgowało jeszcze pojawienie się COVID-19. Dla EkoWodrolu przejście na zdalny tryb pracy okazało się jednak doskonałym rozwiązaniem, które zresztą na mniejszą skalę stosowano już wcześniej. Wymuszały to poniekąd okoliczności i rynek. – Ze względu na wielkość i zakres działania firmy praca w chmurze jest dobrym rozwiązaniem, udało się dość łagodnie przejść na ten tryb funkcjonowania, chociaż my co dzień stawiamy się osobiście na stanowiskach. Warto docenić narady online, i telekonferencje z kontrahentami tłumaczy Rafał Wojciechowski, który prywatnie pasjonuje się nowymi technologiami i komputerami.

EkoWodrol to nowoczesna i otwarta na międzynarodową współpracę firma. Warto poznać jej historię i zespół. Warto zostać pracownikiem i klientem EkoWodrolu! ■

EkoWodrol Sp. z o.o.

75-846 Koszalin, ul. Słowiańska 13
tel. 94 348 60 40, fax 94 348 60 41
ekowodrol@ekowodrol.pl, **ekowodrol.pl**

NIE TYLKO ŻARTOWNIŚ

Wszystko zaczęło się od założenia Fundacji Psia Krew. Jednak pomysł, żeby wspierać zwierzęta, zrodził się już w dzieciństwie. Adam Van Bendler zawsze chciał pomagać i być blisko zwierząt. Wystarczyła odrobina chęci i tak zaczęła się wielowątkowa pomoc zwierzętom. Bo nasz bohater nie poprzestał na zbieraniu pieniędzy dla schronisk, postanowił naprawiać system. I tak powstała oryginalna aplikacja – Animal Helper.

Tekst: Magdalena Wojtaszek

Zdjęcia: archiwum prywatne, fundacjapsiakrew.pl

Ma być to narzędzie, które usprawni nam dotarcie do odpowiednich służb ratunkowych w razie wypadku drogowego. Dzięki aplikacji dowiemy się także, kiedy to wsparcie zostało udzielone i będziemy mieli pewność, że nasze zgłoszenie nie zostało pozostawione bez echa. Animal Helper ma również służyć wtedy, kiedy wydaje nam się, że w jakimś domu dzieje się zwierzęciu krzywda. Niestety, w Polsce wciąż system ratowania zwierząt kuleje. Gdyby nie osoby prywatne i fundacje, wiele cierpiących zwierząt nie miałoby szans na przeżycie. Trzeba to głośno powiedzieć. I zdecydowanie walczyć ze spychologią. Dlatego też Adam Van Bendler, komik, oraz Paweł Gebert, biegły z zakresu ochrony i dobrostanu zwierząt, chcą, aby to konsultanci za pośrednictwem Animal Helper kierowali zgłoszenia do sprawdzonych jednostek. Na stworzenie aplikacji potrzeba 105 tysięcy złotych. Przedstawiciele Fundacji Psia Krew nie poddają się i wciąż zbierają pieniądze.

Fundacja Psia Krew została założona przez ciebie w 2018 roku. Skąd pomysł na taką formę działalności?

Adam Van Bendler: – Fundację założyłem w momencie, w którym nie miałem jakichś szczególnych obowiązków poza pracą w stand-upie. Wiadomo, ludzie mają często rodzinę, dzieci i wtedy tego czasu jest coraz mniej. A ja byłem w dość komfortowym momencie mojego życia. Występowałem wieczorami na scenie, a poza tym chciałem coś jeszcze zrobić dla świata. Tak w 2018 roku po rozmowach z moimi przyjaciółmi udało się zrealizować marzenie z dzieciństwa. Wtedy jednak jeszcze nie wiedziałem, że zorganizuję mecz charytatywny.



Udało się zorganizować Charytatywny Mecz o Psią Krew, Komicy vs Raperzy oraz Charytatywną Galę Stand-up Comedy. Pierwsze dwie edycje pozwoliły zgromadzić aż 365 tysięcy złotych na pomoc wielu zwierzętom. Co udało się zrobić za zebrane do tej pory pieniądze?

Adam Van Bendler: – W sumie cztery imprezy charytatywne pozwoliły nam zebrać tę sumę. Oczywiście, gdyby nie moi przyjaciele – komicy, nic spektakularnego by się nie wydarzyło. To jest zbiorowa, skomasowana akcja wspaniałych ludzi. Dzięki tej kwocie udało się zrobić bardzo dużo. W pierwszym roku stawialiśmy bardziej na zaopatrzenie schronisk w leki, karmę, gadzety, które zużywają się na bieżąco. W następnym roku chcieliśmy zrobić rzeczy, które zostałyby na dłużej w tych miejscach, dlatego też postawiliśmy na remonty niektórych placówek, widać to na naszym filmie z podsumowania działalności fundacji. Zrobiliśmy renowację niektórych miejsc w Starogardzie czy w Paślęku i naprawdę trzeba przyznać, że ekipa robotników zrobiła świetną robotę. Wsparliśmy także Fundację Znów Na Nogach, która spawa wózki sparaliżowanym psiom. Tych rzeczy, które pozostaną na dłużej, jest znacznie więcej. Warto też podkreślić, że przy drugiej edycji współpracowałem już ze Stage Production i Zoo Karina.

Na jakiej podstawie wybieracie schroniska, którym chcecie pomóc? Takich miejsc jest bardzo dużo, a zwierzęta żyją w różnych warunkach i pewnie każdy widok już gdzieś tam was skłania do tego, żeby pomóc...

Adam Van Bendler: – To jest zawsze twardy orzech do zgryzienia, bo bazę schronisk mam przeogromną. Do tych najbardziej



OSIEDLE HOLENDERSKIE

Nowe mieszkania ul. Holenderska



Osiedle
Unii Europejskiej



LECHBUD KOSZALIN

Koszalin ul. Podgórna 8
www.lechbud.pl

94 342-62-77

663-746-451

lechbud-koszalin@wp.pl

ZAPRASZAMY!!!

STACJA KONTROLI POJAZDÓW

pn.-pt. 8:00-18:00
sob. 9:00-14:00

NR ZK/018/P

tel. 668 308 308

Koszalin, ul. Kolejowa 7B





potrzebujących jadę osobiście, staram się nawet nie mówić, że jestem komikiem i prowadzę fundację, tylko wchodzę tak trochę z partyzanta i wypytyuję o pewne rzeczy. Co innego w momencie, w którym wybiera się najlepszego, najszybszego lekkoatletę, a co innego, gdy wybiera się schronisko w jak najgorszym stanie, które jednocześnie jest rzetelnie i transparentnie prowadzone, bo też jest dużo placówek, które wołają pomoc, ale niestety nie są prowadzone przez wzorowych ludzi. Bywa, że całą noc nie śpię i myślę o tym po prostu.

Niestety, pandemia pokrzyżowała plany i trzeba było przenieść zbiórkę tylko i wyłącznie do internetu. Nie można organizować dużych imprez. Jeśli będzie taka możliwość, to nie zaprzestaniecie dotychczasowych przedsięwzięć?

Adam Van Bendler: – Nie ukrywam, że mnie to dużo zdrowia też kosztowało. Mecze nie mogły odbyć się w czerwcu, ale mieliśmy jeszcze z Maćkiem Wilkiem plan, żeby zrobić galę stand-upu bodajże 14 grudnia na Torwarze w Warszawie. Czekaliśmy do końca, mieliśmy fajny line-up, ale też niestety trzeba było to odwołać. W dalszym ciągu plany są. Mamy już sposób na to, bo pierwszy mecz zorganizowałem praktycznie w pojedynkę, a podczas drugiego to już miałem naprawdę wspaniałych przyjaciół do pomocy ze Stage Production. Teraz tak samo, wszystko poszło w piach, ale nie tylko nam...

Mimo że nie można organizować imprez, wpadliście na pomysł stworzenia aplikacji Animal Helper, która ma pomagać osobom będącym świadkami wypadku drogowego z udziałem zwierząt czy w przypadkach znęcania się nad czworonogami. To narzędzie ma ułatwić dostęp do odpowiednich ludzi, którym los zwierząt nie jest obojętny. W internecie prowadzona jest zbiórka pieniędzy. Na jakim to jest etapie? Jak będzie można skorzystać z tej aplikacji?

Adam Van Bendler: – Aplikacja jest w fazie prototypu, to jest tak naprawdę i dużo, i mało. Narzędzie jest funkcjonalne i przejrzyste. Jesteśmy w zasadzie i w dobrym, i w złym momencie powiedziałbym, bo z jednej strony mamy już w zasadzie wszystko, żeby wystartować z programowaniem, a z drugiej sama aplikacja to jest dobry początek dla zreformowania całego systemu obiegu informacji. Zwróćmy uwagę: w takich prostych sprawach jak potracenie psa, dzika, nie wiemy, co zrobić. Ludzie nie są szkoleni, najczęściej dzwonią na policję, a funkcjonariusze nie mają ani narzędzi, ani specjalnego pojazdu, ani merytorycznej wiedzy, więc oni najczęściej po wielu godzinach kierują sprawę dalej, najczęściej do organizacji pozarządowej. Zamiast profesjonalnych jednostek wysyłani są wolontariusze. Aplikacja nie tylko byłaby takim 112 dla zwierząt i centralą połączeń, gdzie można by było dzwonić docelowo całodobowo, ale jest cała masa innych sytuacji, jak: znęcanie się, porzucenie psa. Na szczęście dziś świadomość rośnie. Trzeba na każdym szczeblu edukować ludzi, szczególnie tych najmłodszych, żeby później te wartości przenosili z pokolenia na pokolenie.

Oczywiście, żeby to wszystko mogło funkcjonować, potrzebne są pieniądze. Pewnie sfinansowałbym to rok temu z własnej kieszeni, gdyby nie pandemia. Plan jest taki, że robimy aplikację w trzech odsłonach: na IOS, Android i wersję WEB, gdzie nawet na stronie www będzie można wpisać adres i zgłosić zdarzenie. Chcemy wdrożyć ją w jednym województwie – w pomorskim lub w zachodniopomorskim, i udowodnić jej przydatność, a przede wszystkim w ramach testu też wprowadzić szereg poważnych upgrade'ów, bo dopiero później praktyka nam powie, na jakie rzeczy położyć nacisk, poza tym ta aplikacja będzie zawierała też szereg niezbędnych porad behawioralnych, prawnych, szczepieniowych, informacyjnych, np. gdzie można znaleźć najbliższe schronisko czy weterynarza. Chodzi o zbudowanie prozwojającego społeczeństwa.

Paweł Gebert: – Aplikacja ma pełnić rolę 112 dla zwierząt, czyli innymi słowy będzie to grupa operatorów przyjmująca zgłoszenia i mająca doprowadzić do tego, by odpowiednia instytucja zajęła się danym przypadkiem, a następnie uzyska informację zwrotną czy została udzielona odpowiednia pomoc. W przypadku zwierząt dzikich mamy bardzo niewiele ośrodków rehabilitacji. W większości przypadków są to miejsca prywatne, rzadko kiedy dofinansowane przez pieniądze ze skarbu państwa. Tym samym brakuje po prostu miejsc, gdzie te zwierzęta można przewieźć po wypadku drogowym. Brakuje także lekarzy weterynarii, którzy specjalizują się w leczeniu zwierząt dzikich. W większości takich przypadków zgłoszenia kierowane są do gminy, a ta następnie ma podpisaną umowę z przedstawicielem Polskiego Związku Łowieckiego, który przyjeżdża na miejsce, nie stara się uratować tego zwierzęcia, nie jest lekarzem, żeby ocenić kondycję fizyczną, tylko dokonuje uśmiercenia na miejscu używając broni palnej. Niestety, w wielu przypadkach tak to się kończy. Kiedy powstanie aplikacja, nie będzie takich sytuacji. W pierwszej kolejności będziemy szukali jak najszybciej pomocy lekarza weterynarii. Ustawa o ochronie zwierząt jasno mówi, że w miarę możliwości ma być to taka pomoc, dlatego operatorzy pracujący przy aplikacji będą mogli interweniować w samorządach terytorialnych, żeby zmusić je do odpowiedniego działania w tym zakresie.

Czy prawo w kwestii ochrony zwierząt jest wystarczające?

Paweł Gebert: – System prawny ochrony zwierząt w Polsce, niestety, jest bardzo daleki od ideału. Już od kilkunastu lat wspólnie z innymi organizacjami staramy się doprowadzić do zmian nowelizacyjnych w prawie pod tym względem, by poprawić warunki bytowe. Chcemy, żeby osoby maltretujące zwierzęta ponosiły odpowiednio większe sankcje. Niestety, wciąż jest to bardzo dalekie od przepisów, które powinno się egzekwować. W związku z tym już w pewnym momencie dotarłem do ściany. Dopiero po spotkaniu z Adamem postanowiliśmy ruszyć z aplikacją, która na pewno jest w stanie ten byt polepszyć. Jestem przekonany, że uda się ujednoczyć, scentralizować zgłoszenia dotyczącej ochrony zwierząt w naszym kraju.

Zgłoszenia mają dotyczyć też przypadków znęcania się nad zwierzętami. Jak to będzie wyglądało w praktyce?

Paweł Gebert: – Zgłoszenia, które będą trafiały przez aplikację, będą dotyczyły również niehumanitarnego traktowania zwierząt. Taki sygnał, który otrzyma operator, ma za zadanie powiadomić najbliższą organizację ochrony zwierząt bądź policję czy inspekcję weterynaryjną. Jeżeli dojdzie do złamania przepisów i maltretowania zwierząt, zgłoszenie będzie przemianowane na zawiadomienie o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przestępstwa do organów ścigania, a my będziemy w dalszym ciągu pilnować kolejnych etapów postępowania, żeby osoba odpowiedzialna za ten czyn trafiła za kratki.

Jak można wam pomóc?

Adam Van Bendler: – Na pewno można nam pomóc za pośrednictwem zrutki.pl, gdzie prowadzona jest zbiórka pieniędzy. To jest strona, której zaufaliśmy i tam wszystko się toczy. Potrzebujemy około 100 tysięcy złotych, może troszkę więcej, żeby dokończyć aplikację, zrobić to solidnie. Mamy do wykorzystania wiele opcji, nawet zastanawialiśmy się, czy nie zlecić tego firmie w Indiach, ale z drugiej strony nieco tańsza wersja takiego narzędzia może później, niestety, skutkować problemami w komunikacji między Polską a Indiami. Tutaj mamy sztab programistów z Polski, którzy takie rzeczy już robili, i możemy im zaufać. Więc żeby zrobić aplikację solidnie, wdrożyć, przetestować, musimy mieć pieniądze. Naszym wielkim marzeniem jest centrala, gdzie przeszkoleni pracownicy będą mogli przyjmować zgłoszenia i kierować je dalej, a także będą podejmować decyzję, co zrobić, kiedy trafią na materiały dowodowe, np. za znęcanie się, pobicia. W aplikacji będzie można też zrobić od razu zdjęcie błąkającego się psa. Nie chcemy, żeby ludzie tracili ani chwili na szukanie odpowiedzi, ponieważ jest to czas, który może uratować życie zwierzęcia. Zamierzamy, żeby zawsze rozwiązaniem była aplikacja Animal Helper. Zbiórka będzie trwała aż do skutku. ■



UWIELBIAM ZATRACIĆ SIĘ W TAŃCU



Jako jedyna w Polsce promowała płytę Michaela Jacksona „Thriller” w 25-lecie jej wydania. Tuż po zdaniu matury wyjechała na cztery miesiące do najlepszej szkoły tańca na Broadwayu w Nowym Jorku. Jest laureatką wielu zawodów tanecznych, mistrzostw Polski, Europy i świata. Co dzisiaj słychać u Diany „Sasy” Staniszewskiej?

Tekst: Ewa Marczak
Zdjęcia: Magda Pater

Absolwentka VI LO i pedagogiki tańcy, odkąd... stanęła na nogi. To zapewne zasługa jej mamy, Anny Dubrownik, która sama była tancerką. Razem z mężem Marcinem Dubrownikiem ponad 25 lat temu założyła szkołę tańca „Top Toys”. Diana właściwie się w niej wychowała. Taniec jest jej żywiołem. Nic dziwnego, że odniosła tak wiele sukcesów w tej dziedzinie. W klasie maturalnej wystąpiła w pierwszej edycji telewizyjnego programu „You can dance. Po prostu tańcz”. Było to w 2007 r. Odpadła dopiero w jego finale. W nagrodę tuż po maturze Diana wyjechała na cztery miesiące do Broadway Dance Center w Nowym Jorku. A wcześniej w Warszawie promowała płytę Michaela Jacksona „Thriller” w 25-lecie jej wydania. W każdym kraju była tylko jedna osoba wyznaczona do takiej promocji. Poza tym Diana może pochwalić się tytułem finalistki programów „Got To Dance – Tylko Taniec” oraz „Mam Talent” solo i w grupie.

ZATAŃCZYŁA JAK JACKO

Utalentowana tancerka, będąc wielką fanką Michaela Jacksona, wzięła udział także w programie na jego najlepszą dublerkę. Występy oceniała siostra artysty, także piosenkarka, La Toya Jackson.

– To było krótko po śmierci Michaela, więc media organizowały wiele wydarzeń, żeby go uczcić – wspomina koszalinianka. – Jedna z telewizji, po uzyskaniu zgody La Toi na udział w programie, przygotowała konkurs na najlepszego dublera tańca jej brata. Wtedy ktoś z tej telewizji zadzwonił do mnie i zaprosił do wystąpienia. Musiałam się formalnie zgłosić i pojechać wcześniej, aby przedstawić komisji układ, który chciałam pokazać na konkursie. Co było dalej? Szczerze mówiąc, nie pamiętam (śmiech). Towarzyszyły mi wielkie emocje, euforia wręcz. Zatańczyłam przecież przed rzeszą ludzi, wielu z nich krzyczało, dookoła mnóstwo świateł. To było bardzo stresujące, ale dałam radę. Byłam młoda i szalona (śmiech). Ale trzeba pamiętać, że wtedy uczyłam się jeszcze w liceum. Przez przygotowania do zawodów i udział w nich często nie chodziłam na lekcje. Niektórym nauczycielom to się nie podobało. Uważali, że tańczenie to nie zawód, że trzeba zdobyć wykształcenie.

Tutaj też Diana odniosła sukces. Nie tylko zdała maturę, ale i skończyła studia pedagogiczne.

– Nie myślałam nigdy o tym, co bym robiła, gdybym nie zajmowała się tańcem – przyznaje. – Jednak po zastanowieniu uwa-

Niektóre z osiągnięć Diany Staniszewskiej:

- Nagroda indywidualna I stopnia Prezydenta Koszalina 2012
- Nagroda indywidualna I stopnia Prezydenta Koszalina 2011
- Awans na Mistrzostwa Świata 2006
- Finalistka Mam Talent – Solo
- Finalistka Michael Jackson Style Niemcy 2010
- Finalistka Mistrzostw Świata Bremen 2004
- Finalistka Mistrzostw Świata IDO Bremen 2005
- Finalistka Mistrzostw Świata IDO Bremen 2006
- Finalistka Mistrzostw Europy Dania 2008
- I miejsce – Vogue Funkin Stylez Poland 2011
- I miejsce – Popping Mixery KO Battle Hannover 2011
- I miejsce – Michael Jackson Style Express Your Style 2011
- I miejsce – Michael Jackson Style Keep It Funky Czechy 2010
- I miejsce – Locking Big Dance Elite Poznań 2010
- I miejsce – Hip Hop International Poznań 2009
- I miejsce – tytuł Mistrzyni Polski Popping Częstochowa 2008
- I miejsce – New Style Piła 2006
- I miejsce – New Style Battle Sopot 2006
- I miejsce – New Style Freedom of movement Poznań 2006
- I miejsce – New Style Warsaw Challenge 2006
- I miejsce – Popping Inowrocław 2006
- I miejsce – tytuł Mistrzyni Polski Popping Wrocław 2006
- I miejsce – tytuł Mistrzyni Polski Popping 2005
- I miejsce – Street Dance Koszalin 2002

żam, że dałabym sobie radę wszędzie. Mimo upływu czasu mam mnóstwo energii, siły i pomysłów. Sama nie wiem, skąd się to u mnie bierze? Chyba jestem czarownicą (śmiech). Wydaje mi się, że mogę wszystko robić i spełnia się wszystko to, o czym pomyślę. Jakbym miała w sobie jakieś tajemne moce. Wiem na pewno, że nie wytrzymałabym siedzenia za biurkiem przez osiem godzin. Bardzo szanuję ludzi, którzy w pracy muszą to robić, ale ja po prostu muszę się ruszać. Nie wytrzymuję bez tego. Nawet gdy wracam do domu wieczorem, już po godzinie 21, bo do tej godziny prowadzimy zajęcia, włączam muzykę i tańczę. Na szczęście mam wyrozumiałą sąsiadkę (śmiech). Uwielbiam zapamiętać się w tańcu.

TANECZNE ZASKOCZENIA W ARIZONIE

Kilka lat temu koszalinianka zadziwiła Amerykanów, wygrywając zawody w Arizonie.

– Byłam wtedy jedyną Polką, zupełnie nieznaną przez organizatorów – wspomina Diana Staniszewska. – Nie myślałam o wygranej, ale o tym, żeby dobrze wypaść. Kiedy okazało się, że jestem najlepsza, pozostali uczestnicy nie kryli zaskoczenia. Pytali, skąd jestem, skąd się wzięłam na zawodach. Znał mnie tylko jeden sędzia, ale on oceniał mnie w innym stylu tanecznym. Dla mnie to też był szok. Otoczyło mnie nagle kilka osób mówiących jakimś slangiem, bardzo szybko. Nie wiedziałam, co się dzieje.

OSIĄGNĘŁA WSZYSTKO, CO MOGŁA

Odkąd przestała tak często występować na zawodach jak w latach młodości, Diana trenuje dzieci. To zajęcia też lubi do tego stopnia, że nie potrafi powiedzieć, co sprawia jej większą satysfakcję: taniec czy jego nauczanie.

– Jako zawodniczka, tancerka osiągnęłam już wszystko, co mogłam – przyznaje. – Występowałam chyba w całej Europie, do tego w USA i w Chinach, gdzie w 2010 roku wzięłam udział w Wystawie Światowej EXPO w Szanghaju. Praca choreografki to kolejny etap. Bardzo mi się to podoba. Przed pandemią, gdy zbliżały się Dni Koszalina, a wraz z nimi przedstawienia z udziałem naszych tancerzy i wielu znanych koszalinian, byłam proszona o ułożenie układów dla nich. To było fantastyczne!

– W pandemii pracujemy właściwie normalnie – przyznaje. – Rok temu podczas pierwszej fali przenieśliśmy zajęcia do internetu. Co prawda to nie to samo, bo nie widziałam wszystkich ruchów, nie czułam energii dzieci, ale jednak jakoś funkcjonowaliśmy. Potem rząd zezwolił na działalność klubów sportowych, co nas też dotyczy, bo przygotowujemy dzieci na zawody. Wiemy już, jak prowadzić zajęcia stacjonarne w reżimie sanitarnym. Ten rok jest dla naszej szkoły tańca szczególny, bo świętujemy oficjalne ćwierćwiecze działalności.

DIANA I KRÓLIKI

Zajęcia trwają sześć dni w tygodniu. Niedziela to czas odpoczynku nie tylko dla dzieci, ale i dla Diany. Może wtedy więcej czasu spędzić ze swoimi zwierzętami. Ma dwa króliki i psa.

– Kiedy ktoś mnie pyta: co robisz rano, kiedy się nie szykujesz na zajęcia, to odpowiadam: spędzam czas ze zwierzętami – śmieje się tancerka i nauczycielka tańca.

Koszalinianka zdradza, że ma inną pasję, z którą chce kiedyś wyjść do ludzi. To pisanie książek, głównie utworów fantastycznych.

– Pisanie fantastyki sprawia mi największą radość, ale mam pomysły na wiele różnych gatunków – zaznacza Diana Staniszewska. – Napisałam już sporo i może mi się kiedyś to wszystko uda opublikować. ■



WIOSNA, ACH TO TY

Nie ukrywam, że przepętłnia mnie niezmierna radość, że tej wiosny pojawia się jednak coś takiego jak trendy. Mimo pandemii, izolacji, strachu i niepewności projektanci o nas zadbali. Ja mogę napisać o tym, co jest top of the top, a wy zaszalejcie i wybierajcie do woli. Oczywiście, przyda się trochę rozsądku i uprzedniego zajrzenia do szafy. Ale dodajmy do maseczek coś niebanalnego. Uwierzcie mi, to poprawia nastrój nie tylko kobietom.

Tekst: Ewa Linow
Zdjęcie: Artur Gawlikowski



W tym sezonie czerwień wiecie prym i warto o tym pamiętać, bo wybierając dla siebie garderobę w tym kolorze, zaopatrzmy się w rzecz na lata. Ta barwa nigdy nie przepadnie i nie ma szans zostać niezauważona. Co niesie ze sobą czerwień? Pewność siebie, energię, seksapil. Projektanci prezentują ją obecnie w ekstremalnie długich, niemal ciągnących się po ziemi sukienkach. Ważne stają się także drobiazgi typu cienkie ramiączka. Na takowe nie powinny sobie pozwalać wszystkie panie (wiem, przeklinać w duchu zbyt masywne ramiona). Te z ładnie wyrzeźbionymi, koniecznie podążajcie za tym trendem. Warto pamiętać także o koronkach. Może to zbyt seksownie, ale co tam! W czasach pandemii wolno więcej. Jeśli jednak nie chcecie wyglądać za bardzo wyzywająco, połączcie dwie rzeczy: czerwień i przewiewny kombinezon dobrej jakości. Gwarantuję, że będziecie wyglądać wystrzałowo.

BĄDŹ EKO

Skóra i jeans bezsprzecznie królują tej wiosny. Ekologiczna skóra pojawia się w nieoczywistych obliczach np. bluzki albo sukienki. Mam przeczucie, że znajdą się zaciekle orędowniczki i równie gorące przeciwniczki tego trendu. Nie każdy w czarnej sukience ze skóry będzie wyglądał dobrze, a wielbiciele bawełny, kaszmiru i komfortu w życiu nie założą na siebie podobnej propozycji. Rozumiem oba podejścia. Skupmy się jednak przez chwilę na tych paniach, które jak Carrie Bradshaw z „Seksu w wielkim mieście” są po prostu gwiazdami i robią wszystko, by zwrócić na siebie uwagę. Czarne czy brązowe sukienki ze skóry mogą wyglądać naprawdę zjawiskowo. Wisienką na torcie są skórzane bluzki. Oryginalność rzuca się w oczy. Tu jest pazur, delikatność zdecydowanie schodzi na dalszy plan.

Jakie mają być jeansy tej wiosny? Z wysoką talią i nogawkami dzwoniącymi. Trend adresowany raczej dla wyższych pań, choć te niższe, wystarczy, że skuszą się na włożenie szpilek. Dla wszystkich zaś jeansowe sukienki mini. Niebieskie, granatowe, szare. Jakie Wam się zamarzą.

MODNY KRÓJ

Biała bluzka tej wiosny przechodzi transformację. Pierwszą i najważniejszą są... bufiaste rękawy. Może niezbyt odpowiednio dla sylwetki z szerokimi ramionami, ale co tam. W bluzkach nie wygląda się może tak oryginalnie jak w sukienkach. Ale jeśli pomyślimy i oczyma wyobraźni zobaczymy białą bluzkę

z troczkami czy lekko lub bogato zdobioną cekinami albo dla odmiany delikatnie koronkową z pięknie obszytymi guziczkami przy mankietach, to w tym snutym w głowie obrazie rozplynie się każda z nas. Białe bluzki odświeżają twarz. Sińce pod oczami nie są aż tak widoczne, a my możemy się cieszyć, że prosty trik czyni nas modnymi i zauważalnymi, mimo że nie ubrałyśmy na siebie kreacji na czerwony dywan. I tu proszę o uwagę. Coś z tego czerwonego dywanu w tym sezonie jednak zagarniamy. Sukienki. A dokładniej – ich długość. Mają sięgać ziemi. Może być to tylko wydłużony tył. Ale równie efektywnie będzie prezentowała się sukienka opadająca równomiernie. Wybór należy do was.

Z DOBREJ DZIANINY

Mała czarna do ciężkich butów, botków, kowbojek lub subtelnych szpilek. W tym sezonie projektanci podkreślają fakt, że długowieczność małej czarnej zapewnia jej jakość. „Oczywista oczywistość”, jak mawiał klasyk. Jeśli wybierasz się na zakupy, nie zapomnij o tym ważnym aspekcie. Wtedy w każdej oprawie (z kardiganem, wełnianym płaszczem, wzorzystą torebką) będziesz wyglądać zniewalająco, a przynajmniej dobrze. Weź też pod uwagę ilość możliwości, jaką niesie ze sobą założenie małej czarnej. Sukienka w miarę krótka (tu działamy zdroworozsądkowo) i jest sukces.

To, co może nas zaskakiwać tej wiosny, to trend na dzianinowe, obcisłe sweterki rodem z lat 50. We wszelkich kolorach. Chociaż jeszcze nadal pojesiennie króluje beż, to zdarzają się także czekolady, pistacje, a nawet róże i lawendy. Krótkie, bo do pasa, nie lubią wystającego brzuszka. Trudno. Takie wymagające przypadki modowe też się zdarzają. Trzeba im po prostu przebaczyć.

PANDEMICZNIE I W MODZIE

Dresy, futrzane kaptcie, pastelowe kolory. Schemata po pandemii. Mało która z nas, mająca coś wspólnego z modą i trendami, ominęła spotkanie z dresami. Wygodne, modne, praktyczne. Bawełniane lub welurowe. Nie muszą być nudne. Nadruki dodają im oryginalności. Warto też zainwestować w dresy z troczkami, może lekko cekinowe albo z wielkim kubkiem kawy na przodzie. Dresy tak. Futrzane kaptcie niekoniecznie. Mają swoje fanki. Jako remedium na COVID zalecam pastelowe kolory: niebieski, róż, lawenda, limonka. Zapomnijmy jak najszybciej o tych ciężkich czasach i bawmy się z modą. To naprawdę działa! ■

ZAANSE SCHANS – W KRAINIE WIATRAKÓW

Wiosną Holandia zmienia się w wielki ogród. Zakwitają tulipany i bezkresne równiny pokrywa różnobarwny kobierzec utkany z tysięcy kwiatów. Przez kilkanaście dni cieszą oczy swoim kształtem i kolorem. W XVI wieku, kiedy sprowadzono tulipany z Azji Centralnej, za trzy tulipanowe cebulki można było kupić okazałą kamienicę w Amsterdamie. Z czasem tulipany urosły do rangi symbolu Holandii. Podziwiając tulipanowe plantacje zmierzamy do niezwykłego miejsca. To skansen Zaanse Schans, gdzie można podziwiać kolejny z holenderskich symboli – wiatraki.

Tekst i zdjęcia: Izabela Nowak

Niegdyś na holenderskich równinach pracowało dziesiątki tysięcy wiatraków. Przez stulecia ich koła czerpakowe odprowadzały wodę z podmokłych, bagnistych terenów. Z czasem tę funkcję przejęły nowoczesne systemy odwadniające. Do naszych czasów przetrwało zaledwie tysiąc wiatraków, dziś traktowanych jako zabytki i troskliwie chronionych. Tylko w wyjątkowych sytuacjach stare młyny podejmują swoją pracę. Tak dzieje się w narodowym Dniu Wiatraków. Jest jednak, i to w odległości zaledwie kilkunastu kilometrów od Amsterdamu, niezwykły skansen, gdzie stare wiatraki wciąż przeżywają chwile swej świetności.

XVIII-WIECZNA IDYLLA

Położona w malowniczej dolinie rzeki Zaan mała, poprzecinana siecią wąskich kanałów miejscowość Zaanse Schans jest jedną z najbardziej znanych atrakcji turystycznych Niderlandów. Już urodą krajobrazów przyciągnęłaby z pewnością rzesze turystów, ale przygotowano dla nich niezwykłą niespodziankę. Oto skansen – zamieszkały! – jest wierną rekonstrukcją holenderskiej wioski z XVIII wieku. Z całego regionu zwieziono zabytkowe, drewniane chatki i warsztaty rzemieślnicze, które prawdopodobnie od dwóch stuleci nie zmieniły swego wyglądu. Iluzja doskonała! Zaanse Schans to idylla przeniesiona do współczesności wprost z płócien holenderskich mistrzów. Na soczyście zielonych łąkach pasą się owce otoczone wesóło baraszkującymi jagniętami, stada kaczek pływają na rzece, a na brzegu można dostrzec zamyśloną czapkę. Wokół małych domków o ścianach w kolorze ciemnej zieleni rozciągają się wypielęgnowane ogródki pełne wszechobecnych wiosną tulipanów. Urodę bajkowej scenerii podkreślają malownicze mostki spinające brzegi kanałów.

Kiedy już zmęczymy się troszkę spacerem, można zajrzeć do jednego ze sklepów wyglądających tak, jak przed wiekami. Duże zainteresowanie budzi mały sklepik Albert Heijn, prekursor współczesnej sieci supermarketów. W bakkerij – zabytkowej piekarni – można kupić pyszne ciasteczka i świeże pieczywo, którego receptura pozostaje od lat niezmienna. Następnie warto wejść do kaasboerderij, gdzie produkowane są znakomite holenderskie sery. Z kolei w klompenmakerij warto zapoznać się z procesem



wytwarzania kolejnej z niderlandzkich specjalności – słynnych chodaków, obuwia wciąż chętnie noszonego przez mieszkańców holenderskich wiosek.

MALOWNICZE WIATRAKI

Miło zanurzyć się w atmosferę XVIII-wiecznej sielanki, jednak tym, co rozsławiło skansen Zaanse Schans jest kilkanaście ogromnych, wciąż pracujących wiatraków. Ich historia sięga początków XVII wieku. Wówczas na brzegu rzeki Zaan wyrosło





ponad sto wiatraków. Początkowo osuszały podmokły teren. Z czasem wiatrowych młynów zaczęto używać również do cięcia drewna, mielenia nasion gorczycy, wyłaczania oleju. Jak czytamy w reklamowym folderku (dostępnym także w polskiej wersji językowej), życie młynarzy uzależnione było od wiatru, jakże kapryśnego i zmiennego źródła energii. Tylko w bezwietrzne dni mogli oddawać się swym ulubionym zajęciom – kulinarnym atrakcjom i grze w karty. Niestety, bezwietrzna pogoda jest w Holandii wielką rzadkością...

Od kwietnia do końca września wiatraki w Zaanse Schans pracują pełną parą. W jednym z tych zabytkowych młynów, nazwanych „De Kat” (czyli po prostu „Kot”), zgodnie z wielowiekową tradycją produkowane są farby z tropikalnego czarnego drewna. Już przy wejściu wita nas żywa „wizytówka” tej niezwyklej farbiarni – przyjacielski kotek o czarnej, błyszczącej sierści i wielkich zielonych oczach, obiekt żywiołowego zachwyty turystów, absolutnie niespieszony okazującym mu zainteresowaniem. A wewnątrz ogromnego wiatraka, tak jak przed wiekami, wielkie żarna zmieniają na proszek kawałki drewna, produkując puder, który – zmieszany z olejem lnianym – zamienia się w bardzo cenione wśród malarzy farby.

ŚLADAMI CARA PIOTRA I

Przyszedł czas na pożegnanie gościnnego Zaanse Schans. Czekaj nas teraz spacer po położonym w pobliżu skansenu miasteczku Zaandam, uwiecznionym w XIX wieku przez Claude’a Moneta. Mimo podejrzeń o szpiegostwo i nieustannej inwigilacji znakomity francuski impresjonista namalował serię obrazów, utrwalających piękno Zaandam. Dzielnice otaczające urokliwy stary port pozostały niezmienione, a w krętych, wąskich uliczkach zachowała się atmosfera dawnej Holandii. Jedną z małych drewnianych chatek przy ulicy Godempte Gracht jest największą

dumą miasteczka, które w XVII wieku było jednym z najbardziej znanych ośrodków przemysłu stoczniowego. To dom cara Piotra I. Rosyjski monarcha aż czterokrotnie przyjeżdżał do Zaandam, by wśród holenderskich szkutników poznawać tajemnice budowy okrętów. Podczas pierwszego pobytu podróżujący incognito car Piotr I zatrzymał się w tym skromnym domku. Podobno Napoleon, zwiedzając tę chatkę, stwierdził, że „nic nie jest za małe dla wielkich ludzi”. Obecnie ściany dwóch małych pokojów, które były siedzibą wielkiego cara, ozdobione są portretami rosyjskiego władcy, a wokół domu zaaranżowano niewielką ekspozycję poświęconą przemysłowi stoczniowemu miasta.

„HOLENDRSKIE CHINY” W CIENIU WIATRaków

Okolice Zaandam XIX-wieczni podróżnicy nazwali „La Chine d’Hollande” (Holenderskie Chiny). Rzeczywiście. Iluzję Orientu tworzą wszechobecne wiatraki, niezliczone kanały przecinające bezkresne równiny, szeregi małych kolorowych domków.

Peten wrażeń dzień warto zwieńczyć orientalną ucztą. Jedziemy więc do oddalonego o cztery kilometry miasteczka Uitgeest, gdzie zasłużoną sławą cieszy się chińska restauracja Hing-Fa. W niewielkim lokalu mrok rozjaśniają płomyki świec, przefiltrowane przez różowe lampiony. W Holandii kuchnia chińska jest bardzo popularna, więc czasem trzeba poczekać miejsce przy stoliku. Za chwilę mamy okazję delektować się znakomitymi, egzotycznymi potrawami. Pod tajemniczą nazwą nasi-goreng ukrywa się przyprawiony szafranem ryż duszony z warzywami i paseczkami szynki. W małych miseczkach mamy do wyboru kilka mocno pikantnych dipów. Ryż, chociaż tak pyszny, jest właściwie dodatkiem do zasadniczego dania babi pangang, czyli smażonego mięsa tonącego w gęstym, aromatycznym sosie. Orientalną ucztę kończy herbata o delikatnym jaśminowym smaku. Jak widać, „Holenderskie Chiny” w pełni zasługują na swoją nazwę! ■

KSYLOFONISTA, JAKICH NIEWIELU...

Jacek Chojnacki – koszalinianin z urodzenia, muzyk ksylofonista i wibrafonista, nauczyciel, członek zespołu Ksylofon Kwartet. Uczy prywatnie oraz w Szkole Muzycznej I stopnia w Białogardzie (instrumenty perkusyjne), prowadzi audycje umuzykalniające.

Tekst: Dana Jurszewicz

Zdjęcia: Magda Pater, archiwum prywatne

Bardzo dużo masz tych zajęć...

– Miałem. Lekcje prowadzę zdalnie, z domu. Audycji ani koncertów nie ma od roku.

Jakie jeszcze plany musiałeś odłożyć w związku z pandemią?

– Wiadomo, wszystkie koncerty, audycje muzyczne. Planowaliśmy wspólny projekt – koncert zespołu szkolnego z Białogardu i Ksylofon Kwartet. Odłożone są także koncerty w ramach „Familijnego Parku Sztuki” Filharmonii Koszalińskiej, w których na zaproszenie Wojciecha Bałdysa brałem udział. Trzeba poczekać.

Jak się z tym czujesz?

– Dobrze, że mam szkołę. Jak sobie przypomnę, jak bardzo byliśmy wszyscy zajęci, jak zapisane były nasze kalendarze, to uważam, że to był raj. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jakie to było ciekawe, po prostu fajne życie. Oczywiście, ćwiczę regularnie, przygotowuję nowe utwory, choć mamy w zespole duży repertuar. Szlifuję go. Chcę być w formie, muzyk powinien mieć codziennie kontakt z instrumentem i staram się tak robić. Ostatni koncert publiczny miał miejsce niemal rok temu, na Rynku Staromiejskim. Graliśmy w ramach cyklu „Kamerynki”, latem 2020 r.

Gdzie ćwiczysz?

– Od pięciu lat mam nareszcie swój pokój muzyczny. To było moje marzenie. Mieszkam w domku, nie w bloku jak przez całe życie. Tam bywały problemy z ćwiczeniami, najczęściej ćwiczylem w szkole, a niekiedy nawet w garażu, ale tylko w ciepłych porach roku. Ksylofon, nie mówiąc o zestawie perkusyjnym, to jednak głośny instrument. Nie mogłem grać, jak należy. Sąsiedzi może i słyszą, ale nikt się nie skarży.

Jak była twoja droga do muzyki?

– Pochodzę z muzycznej rodziny, tata grał na fagocie jako muzyk koncertowy. Starszy brat grał na gitarze i trochę mnie uczył. W szkole jednak wybrałem instrumenty perkusyjne. Jak każdy uczeń sądziłem, że to tylko perkusja, a potem będę bębniarzem w zespole. Dopiero tam poznałem całą grupę tych instrumentów dzielących się na dwie grupy – melodyczne, czyli sztabkowe, i te niemelodyczne. W każdej jest ogromna różnorodność instrumentów.

A droga do ksylofonu?

– Z programu wynikała też nauka gry na sztabkowym, czyli właśnie ksylofonie. Zaczęło mi się to bardzo szybko i podobać, i wychodzić. Miałem jakąś taką manualną łatwość, pewne rzeczy wychodziły mi „za darmo”, szybciej niż innym na tym instrumencie. To prawda, że mam zdolności manualne, umiem sporo rzeczy naprawić, w dzieciństwie zajmowałem się modelarstwem. I to teraz się przydało. Profesor Wojciech Bałdys, mój mistrz, od razu to zauważył i podczas szkolnych popisów zawsze stawiał mnie przy sztabkowych instrumentach. Po maturze wyjechałem na cztery lata do Bydgoszczy do Akademii Muzycznej. Był to II Wydział Instrumentalny – kontynuacja nauki na instrumentach perkusyjnych.

Czy masz jeszcze innych mistrzów?

– To raczej trudne. W Polsce jest dwóch wybitnych wibrafonistów – Bernard Maseli i Karol Szymanowski. Używają nawet sześciu pałek do grania. Ksylofoniści? Jest ich tak niewielu. Nie znam koncertującego ksylofonisty. W regionie to chyba rzeczywiście jestem jedynym ksylofonistą koncertowym. I cały czas, każdym koncertem, propaguję ten wspaniały instrument.

Dlaczego jest was tak niewielu?

– Ksylofon rzadko pojawia się jako instrument koncertowy, choć bywa w składach orkiestr. Trzeba mieć dobry instrument,





jego utrzymanie w pełnej kondycji nie jest łatwe, wymaga stałej konserwacji, ogromnej troski. Poza tym, na tym instrumencie gra się wyłącznie na pamięć. To szybka technika gry i nie ma czasu patrzeć na nuty. A na koncert trzeba przygotować ok. 40 utworów i wszystkich się nauczyć. To bardzo dużo pracy. Potrzebna jest dobra pamięć i bardzo dobra pamięć muzyczna. Literatury muzycznej jest bardzo mało, większość to jednak transkrypcje. Mam w repertuarze galop cyrkowy napisany specjalnie na ksylofon.

W swojej pracowni muzycznej masz nie tylko ksylofon...

– Gram przede wszystkim na nim. Ale moje odkrycie ostatnich lat to wibrafon.

Opowiedz o nich...

– Rozwój ksylofonu to wiek XX. Jest to instrument drewniany, akustyczny. Mój obecny ma już 14 lat, był robiony na zamówienie w firmie w Zielonej Górze. Jest większy, niż zwykle bywa, koncertowy, z dodaną jedną oktawą. Daje mi to większe możliwości interpretacyjne. Drewno to palisander, bardzo twarde, z Afryki. Ten instrument się starzeje i zużywa. Płytki atakowane są pałeczkami z bardzo twardą, okrągłą końcówką. Uderzamy w nią miliony razy, szybko, mocno. Cały czas trzeba go stroić, wymieniać elementy klawiatury, czyli uszkodzone płytki. Gra się dwiema lub czterema pałeczkami. Technika podstawowa to dwie, czterema raczej gra się na wibrafonie. A to zupełnie inny instrument. Nie miałem własnego, ale podczas udziału w muzycznych audycjach szkolnych spróbowałem i spodobała mi się

jego możliwości. To przede wszystkim inny dźwięk. Teraz mam swój wibrafon. Kupiłem używany, ma 40-50 lat, ale jemu to nie przeszkadza. Jest metalowy, odporniejszy na uderzenia i gra się pałkami z miękkimi końcówkami. Tu podstawowa technika to czteropałkowa, czyli mamy po dwie pałki w każdej ręce. Gra jest bardzo efektowna, szczególnie podczas solówek zawsze budzi emocje słuchaczy. Na obu instrumentach gra się na stojąco, dynamicznie. I proszę ich nie mylić z np. cymbałami, które są instrumentem strunowym.

Czy nauka na tego typu instrumentach jest trudna?

– Nie, jest jak na dowolnym instrumencie. Jeśli chcemy się nauczyć i coś pokazać – trzeba mu poświęcić czas i pracę. Uważam, że każdy może się nauczyć.

Jaki był twój pierwszy ksylofon?

– Ktoś przyniósł do szkoły stary instrument na sprzedaż. Miał inny układ niż dzisiejsze – czterorzędowy. A ja go rozebrałem i zmontowałem dwurzędowy. To był mój pierwszy instrument. Żałuję, że gdzieś przepadł podczas przeprowadzek. Mój obecny to czwarty, a może piąty ksylofon, na którym gram. Poza „swoimi” instrumentami gram też na klarncie, trąbce, akordeonie, fortepianie, wszystkich klawiszowych, gitarze akustycznej także.

Po dyplomie w Bydgoszczy wróciłeś do Koszalina. Taki był plan?

– Były inne plany, ale były to też trudne lata przemian ustrojowych, lata 80. ub.w. Grałem podczas studiów w Operze Nova w Bydgoszczy, jednak umowy mi nie przedłużono. Miałem roze-



znanie na rynku – w regionie, gdzie jest wyższa szkoła – muzyków jest sporo, konkurencja duża. A kiedy wróciłem i szukałem pracy – akurat w białogardzkiej szkole zwolniło się miejsce dla nauczyciela mojej specjalności. I tak minęło już prawie 30 lat mojej pracy nauczycielskiej. Mam obecnie 12 uczniów, w tym cztery dziewczynki.

I teraz ty jesteś dla kogoś mistrzem?

– Uczę dzieci, które nie zawsze wybierają drogę muzyczną. Zwykle grają potem tylko dla siebie, w jakichś małych, lokalnych grupach. Ale paru wychowanków poszło tą drogą. Np. Łukasz Lewczuk po naszej szkole studiował w Gdańsku i teraz uczy w koszalińskim „muzyku”.

A twoje dzieci?

– Żadne z moich dwojga dzieci nie poszło w moje ślady, mają zupełnie inne zawody. Syn ma słuch absolutny, którego ja nie mam. Próbowaliśmy ich zainteresować, ale nic z tego nie wyszło.

Uczysz zdalnie. Jak to wygląda w przypadku muzyki?

– To niezwykle trudne. Ale dużo gramy, potem analizujemy.

Współpracujesz też z Filharmonią Koszalińską...

– Nawet półtora roku grałem w orkiestrze, głównie na instrumentach sztabkowych zastępując kogoś. Ale współpracuję nadal, biorąc udział w koncertach z cyklu „Familijny Park Sztuki”.

Jesteś członkiem i założycielem Ksylofon Kwartet.

Opowiedz o nim.

– Pierwszy koncert mieliśmy 13 czerwca 2007 r., w klubie osiedlowym „Na Skarpie”. Tam jest nasza baza prób i tam najczęściej było występów, ale z czasem występowaliśmy także w innych miejscach – w większości placówek kultury w mieście, w domach kultury poza Koszalinem, w ośrodkach w pasie nadmorskim dla gości wczasowych, także w Domu Polonii w Berlinie jako część składowa prezentacji jednego z ośrodków wczasowych z Łaz. W składzie zespołu obecnie są Krzysztof Szymanowski i Marian Raatz, gościnnie występują inni muzycy, w tym także wokaliści – Janusz Koluch, Monika Bernas. Na początku grał też Andrzej Chabzda.

Co graacie?

– Muzykę różną gatunkowo – folk, rozrywkowa, klasyka, jak „Taniec z szablami” czy utwory Musorgskiego, by pokazać możliwości instrumentu oraz własne. Koncerty składające się tylko z utworów klasycznych nie zawsze są ciekawe dla słuchaczy, dlatego proponujemy taką różnorodność.

Rozpoznajesz już publiczność? Bo grywacie dla różnych, niekoniecznie wyrobionych muzycznie ludzi...

– Po dwóch, czasem trzech pierwszych utworach wiem, co grać dalej, w którą stronę pójść, by ich rozgrzać, zainteresować, otworzyć. Zawsze chcemy, by słuchacze byli zadowoleni. Mamy kilka swoich sposobów i zazwyczaj się udaje. Poza tym, prawda jest taka, że trzeba grać ciekawie i ciekawe rzeczy. Poziom muzyczny zespołu a sposób przedstawiania się to dwie różne sprawy. Staramy się, by to się równoważyło.

A jak z tremą? Jesteście blisko słuchaczy, was czworo lub troje i oni...

– Od początku, jeszcze w szkole, bez problemu wychodziłem na scenę. Po czasie przygotowań organizacyjnych, przedtem żmudnych ćwiczeń na scenie czuję się odprężony, na swoim miejscu. I zaczyna działać fantazja, wyobraźnia. Swobodnie prowadzę koncerty czy audycje muzyczne, do tego stopnia, że najlepsze gagi, tricki i pomysły to nie te przygotowane, tylko te, które przychodzą do mnie na scenie. I zwykle są najlepsze, a na następnym koncercie przychodzą kolejne, jeszcze lepsze. Tak, wyczuwam już publiczność, umiem dostosować nastrój koncertu do sytuacji.

Jesteś trochę showmanem?

– Przez pięć mniej więcej lat prowadziłem lekcje umuzykalniające dla dzieci. Tam się nauczyłem muzycznej konferansjerki i rozmowy ze słuchaczami. Teraz to się przydaje. Bardzo lubię grać – to dla mnie ogromna przyjemność i satysfakcja. Lubię też to pokazywać innym, więc rzeczywiście, mam chyba trochę naturę „showmana”, lubię bawić słuchaczy, wywoływać ich zainteresowanie. ■



HGTV
HOME & GARDEN

MARATON

**TOTALNYCH
REMONTÓW
SZELAŃGOWSKIEJ**

**PIĄTEK 23.04
OD 9:00**

CENTRUM ŚWIATA



Nowy Jork to nie tylko ogromna aglomeracja – to już symbol. Tak jak przez 300 lat Paryż dla Europy był centrum kultury, sztuki czy po prostu cywilizacji, tak po drugiej wojnie światowej Nowy Jork przejął tę dumną rolę. I chyba nie ma na świecie ważniejszego miasta, bowiem to cały świat patrzy właśnie na Nowy Jork. Centrum sztuki, mody, a przede wszystkim finansów. A pieniądź przecież wpływa i na sztukę, i na modę. To świat sam w sobie, który pozwala innym na podziw, a sam już nikogo podziwiać ani nie chce, ani nie musi.

Tekst i zdjęcia: Robert Nawrocki

Miasto w XVII wieku zostało założone przez holenderskich kupców na wyspie Manhattan i nazwane Nowy Amsterdam. Wyspa została zakupiona od tubylców podobno za szklane koraliki. Transakcja okazała się jednym z najlepszych interesów w dziejach ludzkości. Powstała osada otoczona została palisadą, wzdłuż której biegła wąska niepozorna uliczka. Po palisadzie nie ma już śladu, ale uliczka istnieje do dziś. Po angielsku mur to „wall”, a ulica – „street”. Razem otrzymujemy „Wallstreet”, a niepozorna uliczka stała się najważniejszym traktem finansowym świata w momencie powstania na niej giełdy handlowej w XVII wieku. Podobno pierwsze transakcje odbywały się pod rozłożystym drzewem. Nowy Jork rozwijał się od południowego cypla, który jeszcze zachował układ dawnych uliczek – wąskich i biegnących ukosami. Zaraz za cyplem miasto rozbudowywano już według planu prostokątnych działek kolejno numerowanych. Wzdłuż wyspy biegną aleje, z najsłynniejszą o numerze pięć (5th Avenue), a w poprzek ulice – streets, również kolejno numerowane z dodatkowym oznaczeniem – wschodnia strona lub zachodnia.

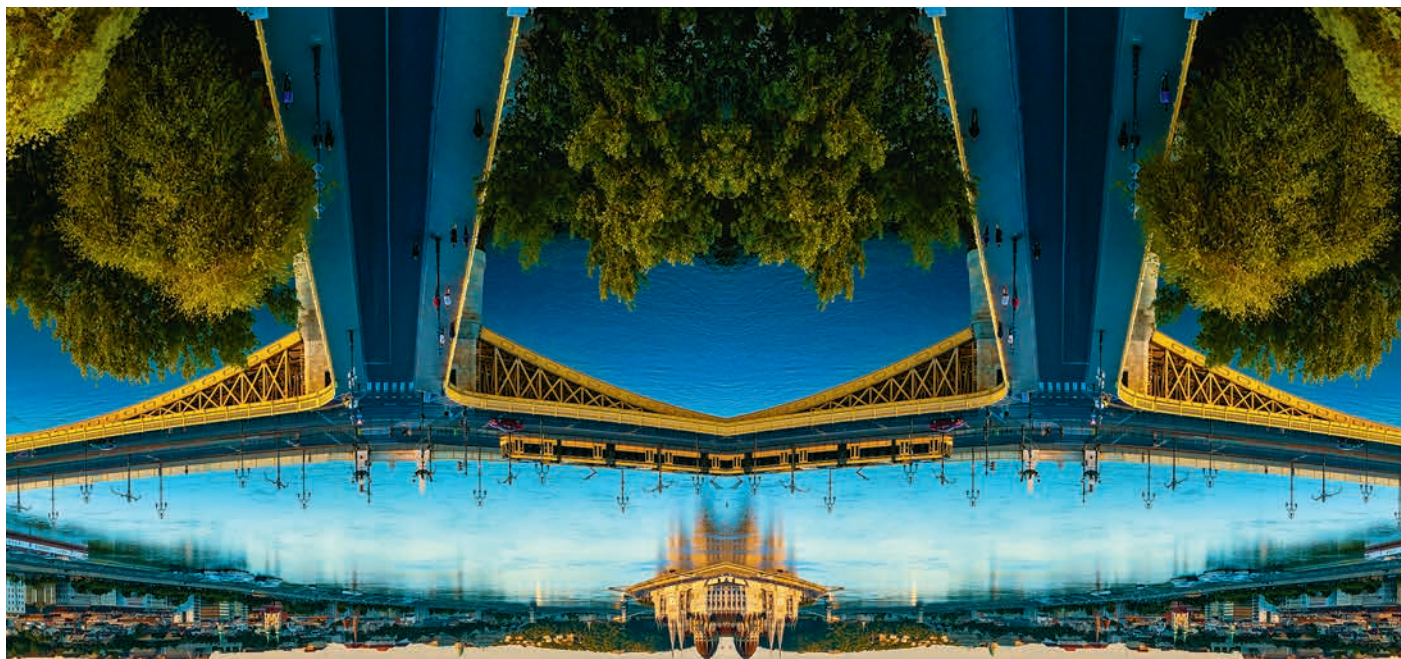
Wyjątkiem jest stary trakt prowadzący od południowego cypla w głąb wyspy biegnący po przekątnej. Tę drogę wyjazdową

Holendrzy nazwali – „szeroką drogą”, czyli po holendersku Bre-edeweg, Anglicy przetłumaczyli ją dosłownie na Broadway i tak powstała jedna z najbardziej znanych ulic świata, bowiem ulokowały się przy niej najsławniejsze teatry.

NOWE PORZĄDKI

Miasto zostało przejęte przez Anglików i nazwane Nowy Jork na cześć księcia Yorku. Po amerykańskiej rewolucji na cztery lata Nowy Jork stał się stolicą Stanów Zjednoczonych. Dziś nie jest nawet stolicą stanu o tej samej nazwie – tą jest miasto Albany. Ale i tak pozostało najważniejszą miejscowością kraju i do tego największą konkurując wielkością populacją z Los Angeles.

Nowy Jork przez kilkadziesiąt lat był głównym portem przyjazdowym do USA dla dziesiątek milionów imigrantów – głównie z przeludnionej Europy. A pierwszym widokiem nowej ziemi dla imigrantów stała się słynna Statua Wolności – zapewne najbardziej znany na całym świecie pomnik. Kobieta z pochodnią wolności w uniesionej ręce została uznana za symbol nadziei i prawa do godnego życia. Podczas rewolucji chińskiej w 1989 roku pojawiła się kopia tego dzieła na placu Tianamen w Pekinie



ZMIENŃ PUNKT WIDZENIA

EUROPA Z POWIETRZA

NIEDZIELE 12:00  NATIONAL
GEOGRAPHIC





wzniesiona rękoma zrewoltowanych studentów. W sercu Chin amerykański symbol wolności – trudno o większą nobilitację i sławę dla dzieła sztuki. Statua jest darem narodu francuskiego i powstała w Paryżu. Po rozebraniu na części przetransportowano ją statkiem do Nowego Jorku i ustawiono na gigantycznym piedestale, zafundowanym już przez samych Amerykanów dzięki publicznej zbiórce pieniędzy. Posąg jest dziś zielony z powodu patyny, oryginalnie miał kolor miedziany. Statua jest niekwestionowanym symbolem miasta widniejącym na tysiącach pamiątek, koszulek, pocztówek i całej gamy innych gadżetów. Jest bardzo fotogeniczna i „zagrała” w wielu filmach, między innymi w filmie Alfreda Hitchcocka „Saboteur”.

DZIEDZICTWO DWÓCH WIEŻ

Z wyspy, na której dumnie wznosi się Statua Wolności, rozciąga się chyba najsłynniejsza panorama miasta ze strzelistymi drapaczami chmur, spośród których wybijały się niegdyś podwójne wieże nazywane bliźniaczymi – Twin Tower. Zniszczone w 2011 roku zastąpione zostały nowym kompleksem budynków na czele z Freedom Tower projektu słynnego architekta polskiego żydowskiego pochodzenia – Daniela Libeskinda. W miejscu fundamentów zniszczonych zamachami Twin Towers stworzono wstrząsające miejsce pamięci ofiar zamachów – dwie kwadra-

towe kaskady wyłożone czarnym marmurem, zagłębione w podziemia byłych wież. Na ścianach wryto nazwiska zmarłych. To jeden z najbardziej wstrząsających pomników na świecie. Może dlatego, że zamiast dosłownych rzeźb, prób wizualizacji czy patetycznej symboliki, autor interpretację pozostawił oglądającym. Dwie studnie z nazwiskami ofiar spływającymi w czarną otchłń cichą wodną kurtyną.

MANHATTAN

Nowy Jork najczęściej kojarzy się ze smukłymi wieżowcami stłoczonymi obok siebie jak walczące o światło drzewa w gęstym lesie. Ale to tylko mały fragment miasta określane jako Dolny Manhattan. A jest jeszcze Środkowy i Górny, a powyżej niego zaczyna się Harlem. Manhattan to tylko jedna z pięciu dzielnic Nowego Jorku, tyle że najsławniejsza i zabierająca cały splendor sławy dla siebie. Jest jeszcze Brooklyn z polskim centrum na Green Point, okryty złą sławą Bronx, Queens z dwoma lotniskami oraz bogate Staten Island.

Dolny Manhattan jako najstarsza część miasta jest nasycony historią stłoczoną w wąskich uliczkach. Budynek giełdy sąsiaduje z budynkiem, na którego schodach pierwszy prezydent kraju George Washington złożył przysięgę. Niedaleko stoi kościół episkopalny Trinity (Trójcy), który w XIX wieku był najwyższym



SANKTUARIUM

OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU O 17:10

SCIFI

OGLĄDAJ NA KANALE 231

TELEWIZJA
KABLOWA KOSZALIN
SPÓŁKA Z O.O.





budynkiem miasta, a dziś wręcz przycupnął trwożliwie, przytłoczony wieżowcami, które powstały w czasach, gdy nie było przepisu, który regulował ich kształt i wysokość. Stały niegdyś tak blisko siebie, że na dolnych piętrach panował mrok nawet w słoneczne dni, powodując chroniczną depresję pracujących tam urzędników. Na cmentarzu kościoła Trinity pochowano między innymi Fultona, wynalazcę silnika parowego. Sam kościół posłużył za scenerię do filmu „Skarb narodów” z Nicolasem Cage. Zresztą trudno byłoby zliczyć tytuły filmów, którym Manhattan posłużył jako plener. Duża część filmów Woody Allena powstała właśnie na Manhattanie, Dustin Hofman biegał w „Maratończyku” po nowojorskim Central Parku, który sam posłużył za plener niezliczonych filmów. Park Centralny jest jakby zieloną enklawą wyciętą w tkance miasta – doskonale prostokątny, z góry wygląda jak regularna wyspa otoczona napierającą falą budynków. Apartamentowce w pobliżu parku są najdroższe w mieście i same też były wykorzystywane filmowo – to tu Polański kręcił „Dziecko Rosemary”, tu powstał „Blockbuster” i wiele innych. Tu też mieszkał swego czasu John Lennon, zastrzelony przez szaleńca przed bramą budynku zwanego Dakota. Zresztą posiadanie lokum na Manhattanie jest niejako nobilitujące i „obowiązkowe” dla każdej gwiazdy amerykańskiego establishmentu. A zamieszkanie pod „dobrym adresem” nie zawsze zależy tylko od pieniędzy, a również od wspólnoty reszty lokatorów. Do budynku, w którym miał swój apartament John Lennon, chciała wprowadzić się Madonna, ale reszta wspólnoty uznała ją za osobę zbyt skandalizującą i uniemożliwiła nabycie apartamentu.

MIASTO WIELU MOŻLIWOŚCI

Nowy Jork jest miastem prawdziwie kosmopolitycznym, zamieszkanym przez wiele narodowości. Jest tu największe (po Chicago) skupisko Polonii, dzielnica Little Italy, zamieszкана



przez Włochów, Chinatown żyje swoim własnym, chińskim życiem. Miasto zamieszkuje również spora liczba Żydów, w tym wielu ortodoksyjnych. To oni wprowadzili do ulicznych straganów z hot-dogami słynne bajgle. Na tych samych stoiskach można zamówić hot-doga z... polish sausage, czyli polską kiełbaską. O bigosie, niestety, trzeba zapomnieć.

Manhattan żyje całą noc, choć dzielnice finansowe się wyludniają. Jednak jedno miejsce operuje całodobowo i to bez okresów świątecznych – to słynny Times Square, rozświetlony gigantycznymi neonami działa jak nocna latarnia dla wszystkich spragnionych rozrywek lub chętnych na ostatniego drinka nad ranem. Cały świat zna to miejsce – to tu opada słynne jabłko w sylwestrową noc o północy. W końcu Nowy Jork ma przydomek – „Big Apple”, czyli „Duże Jabłko”, bowiem jeśli którykolwiek z muzyków jazzowych czy teatralnych aktorów dał radę nadgryźć choćby skromnym sukcesem kawałek tego jabłka, mógł być pewien przyszłej sławy i pieniędzy. ■

TAJEMNICA ŚWIĘTEGO GRAALA

Święty Graal to chyba najbardziej pobudzający wyobraźnię artefakt. Czy istniał naprawdę? A może stał się symbolem, czymś nieuchwytnym, poszukiwaniem doskonałości? Święty Graal nie był wymyślonym przedmiotem arturiańskiej legendy, nie był mitem. Kielich, z którego Jezus pił podczas Ostatniej Wieczery, zapewne istniał naprawdę, chociaż nie przypominał przedmiotu, który podsuwa nam wyobraźnia i film z Indianą Jonesem.

Tekst: Tomasz Wojciechowski

Graal jest jednym z tych tajemniczych, biblijnych przedmiotów, które ciągle fascynują, tym bardziej że do tej pory nikt go raczej nie odnalazł. Arka Przymierza zapewne spoczywa w jednej z pieczar lub w którymś z systemów tuneli, których pełno wokół Jerozolimy. Ukryto ją tam prawdopodobnie wieki temu, gdy starożytny Izrael i jego stolicę ogarnęła wojenna zawierucha. Całun turyński, płótno, w które owinięto po śmierci ciało Jezusa, został nie tylko odkryty, ale też można go podziwiać, gdyż wystawiano go na widok publiczny. Tylko Święty Graal nadal jest nieuchwytny, tajemniczy.

CZYM BYŁ, A CZYM NIE

Według jednej z teorii Święty Graal od ponad pół wieku znajduje się w katedrze w Walencji. Używany był przez wielu papieży w czasie sprawowania mszy świętej, nawet przez papieża Benedykta XVI. Kielich trafił do Rzymu, gdzie żyjący w I w. n.e. papież Sykstus II nakazał swemu diakonowi, św. Wawrzyńcowi, wysłać go do Hiszpanii. We wrześniu 1399 r. ówczesny król Aragonii Marcin I Ludzki kazał go przenieść do swojej kaplicy w pałacu w Saragossie. Jego następca Alfons V Aragoński umieścił Graal właśnie w katedrze w Walencji. Ponoć spoczywa tam do dziś. O ile oczywiście jest to prawdą, gdyż w dziejach świata Święty Graal był interpretowany różnie. Nawet utożsamiano go z ziemskimi potomkami Jezusa, którzy mieli tworzyć królewską linię, dającą początek dynastii francuskich Merowingów. Czym zatem był, a czym z pewnością nie był Święty Graal?

W XIII-wiecznym niemieckim poemacie powstałym w Turynii określany jest jako wielki kamień, szmaragd, który zdobił koronę Lucyfera. Wypadł on na ziemię z korony, w momencie gdy upadły anioł został strącony z niebios za bunt przeciw Bogu. To oczywiście mit, ale był na tyle traktowany serio, że poszukiwania Graala zlecił sam szef SS Heinrich Himmler, który wierzył w tę opowieść. Wysłał w tym celu do południowej Francji Otto Rahn, archeologa amatora i autora dwóch książek traktujących o Graalu. Tajemnicza śmierć badacza w górach Tyrolu w 1939 r. stała się powodem do spekulacji, że faktycznie Rahn coś znalazł lub wiedział za dużo.

Naukowcy wskazują na łacińskie słowo „gradus” („stopień”) jako pochodzenie słowa „graal”, co odnosiło się być może do półmiska albo miski o ścianach wyciętych w kształcie stopni. W średniowiecznych eposach, Graal jest naczyniem i tajemni-

czą świętą relikwią związaną z Jezusem. W jednym z tych opowiadań rycerz Gawain dowiadyuje się, że Graal został wykonany przez Józefa z Arymatei. Ten umieścił go u stóp konającego Jezusa i zebrał do niego krew Zbawiciela. Potem Józef przybył do Brytanii i przekazał go swoim potomkom. Józef pojawia się zresztą w tekście Roberta de Boron. To ten autor po raz pierwszy nazwał Graala „świętym” i skojarzył go z kielichem z Ostatniej Wieczery. Otóż w tym dziele Józef z Arymatei po zgodzie Piłata na pogrzebanie Jezusa, otrzymuje od niego kielich, którego Jezus używał podczas Ostatniej Wieczery. Do tego kielicha Józef zbiera krew Jezusa. Józef po zburzeniu Jerozolimy przez Rzymian ucieka do Brytanii i tam ukrywa kielich. Akcja dzieje się też za panowania króla Artura, kiedy jego rycerze rozpoczynają poszukiwania boskiego kielicha.

Niektórzy uważają, że pochodzenie legendy o Graalu ma swoje źródło w celtyckim bajaniu i opowieści o magicznym kotle, który miał moc odradzania i dawania życia. Jeszcze inni utożsamiają Świętego Graala z całunem turyńskim i w całą sprawę gotowi są zaangażować templariuszy, których w poematach rycerskich łączy się z kielichem.

Patrząc na tajemnicze początki i działalność zakonu templariuszy, może być w tym jakaś część prawdy. W 1118 r. francuski szlachcic Hugo de Payens założył w Jerozolimie Bractwo Ubogich Rycerzy Chrystusa. Miało się ono opiekować pielgrzymami przybywającymi do Ziemi Świętej, a poparcia udzielili mu zarówno patriarcha Jerozolimy, jak i król Baldwin II, który oddał rycerzom do dyspozycji wschodnią część swojego pałacu. Templariusze zamieszkali w miejscu, gdzie kiedyś wznosiła się świątynia króla Salomona. Przez dziewięć lat nie przyjęli w swe szeregi nowych członków. Czyżby uznali, że w dziewięciu (bo tylu ich było) potrafią chronić wszystkich pielgrzymów w Ziemi Świętej? W miejscu, w którym kiedyś stała świątynia, kopali zawzięcie przez całe lata. Czego szukali? Tego nie wiemy, ale wrócili do Europy i natychmiast zaczęli obrastać w siłę i majątek. Hugo de Payens został wielkim mistrzem świątyni, a wkrótce papież Inocenty II podporządkował zakon bezpośrednio Watykanowi. Templariusze stali się międzynarodową potęgą. Dysponowali najlepiej zorganizowaną i wyszkoloną armią ówczesnej Europy. Mówiono, że templariusz wyposażony jest w zbroję nie tylko przeciw wrógom, lecz także przeciw demonom i złu tego świata. Kres



templariuszom położył król Francji Filip Piękny, a ostatniego wielkiego mistrza zakonu, Jakuba de Molay spalono na stosie w 1314 r. Jeśli byli związani z tajemnicą Świętego Graala, zabrali tę wiedzę ze sobą.

Templariusze są kojarzeni z dziejami Graala, zwłaszcza w książkach i filmach związanych z tą tematyką. W regule templariuszy był też zapis nawiązujący do kielicha: „Powinniście ponadto wyznawać swoją wiarę z czystym sercem w dzień i w nocy, aby można was było porównać pod tym względem do najmądrzejszych z wszystkich proroków, którzy powiedzieli (...) Co znaczy: »Weźmie kielich zbawienia«”.

ŚWIADEK I OSTATNIA WIECZERZA

A gdyby można było oprzeć się na świadectwie świadka, kogoś, kto widział święty kielich i opisał jego wygląd? Co prawda świadek ten nie był tam osobiście, lecz widział scenę Ostatniej Wieczery i ustanowienie pierwszej Eucharystii w jednej ze swych wizji. Wizji wiarygodnych, spisanych i upubliczniczonych, w oparciu o które Mel Gibson stworzył film „Pasja”.

Mowa tu o charyzmatycznych wizjach błogosławionej Anny Katarzyny Emmerich, niemieckiej mistyczki żyjącej na przełomie XVIII i XIX w. Dowiedzmy się zatem, jak wyglądał kielich, kto go przyniósł i co się z nim dalej działo.

Jeszcze przed rozpoczęciem ostatniej wieczerzy „Piotr i Jan poszli do owej tylnej komnaty, gdzie było ognisko wielkanocne, po kielich, który otrzymali od Weroniki”. Mowa tu o Świętej Wero-

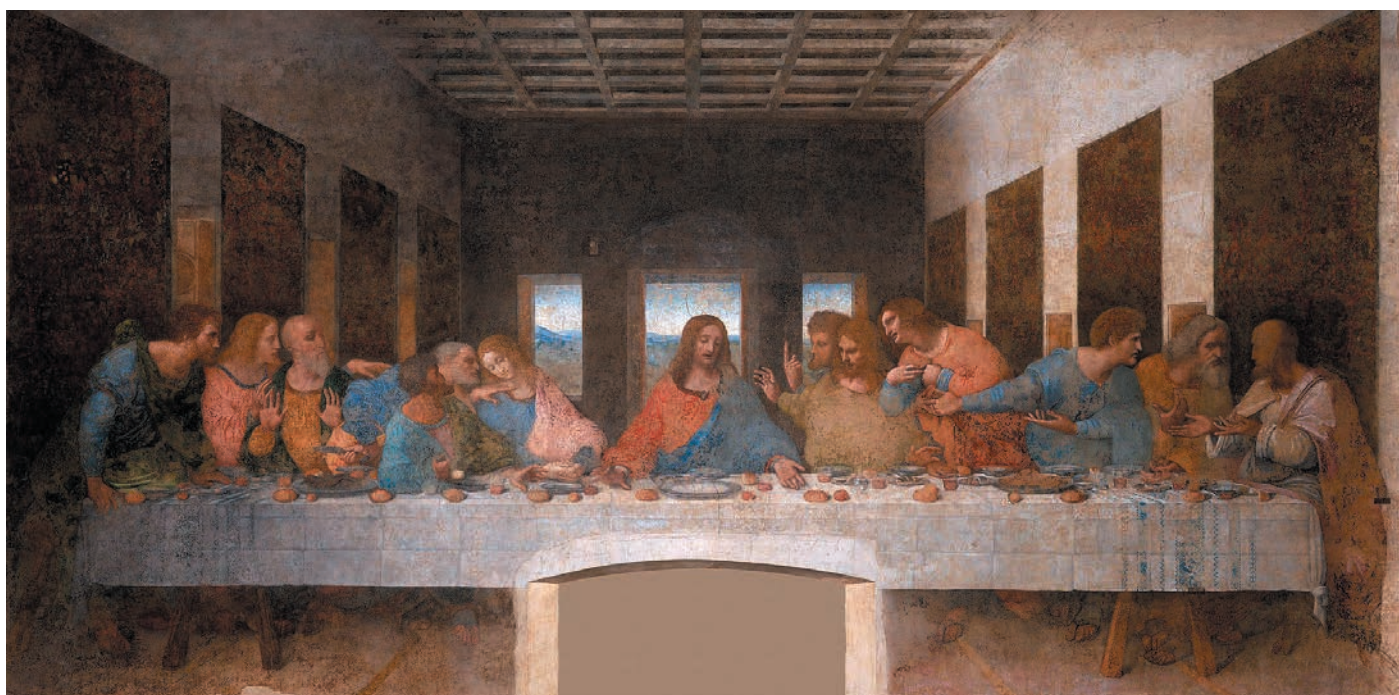
nice, tej, która otarła twarz umęczonego Chrystusa w drodze na ukrzyżowanie. Skąd ona miała ów kielich, czy może dano go jej tylko na przechowanie – tego nie wiemy. Natomiast wedle opisu Graal miał w swojej podstawie zamocowaną łyżeczkę, a po obu stronach kielicha znajdowały się ucha, za które można go było podnosić. Podczas wieczerzy znajdował się w kielichu jeszcze mniejszy kubek. Dalej w relacji czytamy, że „Po ukończeniu tych świętych obrzędów przykryto kielich (...). Piotr i Jan odnieśli teraz także Najśw. Sakrament do owej tylnej komnaty, oddzielonej od sali zasłoną, otwierającą się w środku. (...) Sakrament umieszczono z tyłu nad ogniskiem wielkanocnym, ale niezbyt wysoko. Józef z Arymatei i Nikodem mieli odtąd zawsze w razie nieobecności Apostołów mieć baczenie nad tą świętością i nad całym wieczernikiem”.

Wynikałoby z tego, że święty kielich pozostał w wieczerniku, Józef z Arymatei nie zabrał go więc ze sobą na Golgotę, by zebrać krew Zbawiciela. Jednak to, co z Graalem działo się dalej, jest już owiane zasłoną tajemnicy.

Katarzyna Emmerich bardzo szczegółowo opisała Ostatnią Wieczerzę, wskazując na to, że tak naprawdę ustanowiono tam kanon pierwszej mszy świętej z eucharystią. A jednak wszystkie cztery ewangelie milczą na temat Graala, wspominając tylko, że Jezus „wziął kielich”, a Ostatnia Wieczerza i ukrzyżowanie Jezusa są tylko skrótem tych wydarzeń. Wynikało to zapewne z faktu, że uczniowie Jezusa spodziewali się rychłego wypełnienia Dobrej Nowiny o nadchodzącym królestwie bożym, więc nie zadbano o szczegóły opisu. Poza tym, pamiętajmy, że przekaz ten miał być zrozumiały i przystępny, a tło wydarzeń było znane współczesnym. Ale czas mijał i nic się nie wydarzyło. Zatem przekazy ustne trzeba było spisać. Tak powstały ewangelie, spisane prawdopodobnie co najmniej 80 lat po wydarzeniach w Jerozolimie.

Ewangelii znamy sporo. Jest ewangelia wg św. Tomasza, św. Filipa, nawet wg Judasza i inne. Są to jednak tzw. apokryfy, które nie są oficjalnie uznane za kanon i nie włączono ich do Nowego Testamentu. To właśnie w jednym z apokryfów znajduje się zapis, który jest poparciem dla zwolenników tezy, jakoby Jezus miał potomstwo z Marią Magdaleną i jego dzieci utworzyły linię krwi „Saint Graal”. W ewangelii wg św. Filipa stosunki między Jezusem i Marią zostały opisane tak: „A towarzyszką Zbawcy jest Maria Magdalena. Bowiem Chrystus kochał ją bardziej niż wszystkich uczniów i często całował w usta. Reszta była tym urażona i wyrażała naganę. Mówili mu: Czemu kochasz ją bardziej niż nas? Zbawca odpowiedział im: Czemu nie kocham was tak, jak jej...? Wielka jest tajemnica małżeństwa – bo bez niej świat by nie istniał. Teraz istnienie świata zależy od człowieka, a istnienie człowieka od małżeństwa”.

W 1982 r. pojawiła się kontrowersyjna książka pt. „Święty Graal. Święta krew”, która została napisana przez Michaela Baigneta, Richarda Leigha oraz Henry’ego Lincolna. Zaproponowali oni, aby zwrotu „Saint Graal” szukać w zwrocie „sang royal”, co można przetłumaczyć jako „królewska krew”. Ich zdaniem Graalem była sama Maria Magdalena, która rzekomo nosiła w łonie dziecko Jezusa. Byłaby ona właśnie tym „świętym naczyniem”, przechowującym królewską krew Jezusa. Jezus, wjeżdżając do Jerozolimy na osle, był nie tylko formalnie namaszczonego mesjańskim Chrystusem, był także przyszłym ojcem, a jego żona była w trzecim miesiącu ciąży – tak twierdził też w swej książce sir Laurence Gardner, genealog i pisarz. Teorie te są fantastyką, chociaż nadal wzbudzają duże zainteresowanie, o czym świadczyło „pociągnięcie” tego wątku przez autora „Kodu Leonarda da Vinci”.



A propos Leonarda i jego słynnej „Ostatniej Wieczerzy”, to nie jest to oczywiście wierny obraz tamtej sceny. Wyobraźnię rozpała jednak postać, przez niektórych uważana za Marię Magdalenę, zasiadająca obok Jezusa, brak na stole jakiegokolwiek kielicha i tajemnicza ręka z nożem. Jeśli spojrzymy na nasze „lokalne podwórko”, także znajdziemy niecodzienne malowidło – z kościołem w dawnym Marianowie wiąże się malowidło z XVI w., ukazujące złożenie Jezusa do grobu. Lamentuje nad nim ubrana w żółtą suknię kobieta, będąca w wyraźnej ciąży...

Nie można też zapomnieć, że Jezus miał rodzinę, wśród której znajdował się jego starszy brat zwany Jakubem Starszym. Można przyjąć, że nie byli to dosłownie „bracia” Jezusa, czyli synowie Józefa z pierwszego małżeństwa. Ale np. krewni, bracia cioteczni etc. Niemniej, mogli oni pozostawić po sobie ziemskie potomstwo związane genealogicznie z Chrystusem.

MARIA MAGDALENA I JEZUS

Kim była Maria Magdalena i dlaczego w taki sposób łączono ją z Jezusem? Jeśli sięgnęlibyśmy np. do „Słownika Archeologii Biblijnej”, okazałoby się że człon jej imienia, „migdal” to nic innego jak po hebrajsku „wieża”. Magdala to też miejscowość w Izraelu położona niedaleko Tyberiady na zachodnim brzegu jeziora Genezaret. W starożytności miasto było ważnym ośrodkiem rybackim. Maria Magdalena oznaczać może zatem Marię z Magdali.

Wiemy, że Jezus wypędził z niej siedem złych duchów i jej pierwszej ukazał się po zmartwychwstaniu. Ona stała pod jego krzyżem w chwili śmierci. Bardzo często mylono ją również z inną kobietą w Piśmie Świętym, przyłapaną na cudzołóstwie. Wielu biblistów wskazuje jednak, że to utożsamienie jest błędne. Przeciwnie, Maria Magdalena finansowała działalność Jezusa. Mogła być zatem nie młodą kobietą, ale dojrzałą, zamożną niewiastą, która wierzyła w mesjańskie posłannictwo Jezusa. Nie oznacza to, że była jego żoną i matką jego dzieci. To wydaje się dość absurdalne. Z całą tą sprawą wiąże się jeszcze jedna tajemnica. Kieruje nas ona do XIX-wiecznej Francji i do pewnego proboszcza...

TAJEMNICA KSIĘDZA SAUNIÈRE’A

Wówczas to do małej francuskiej wsi Rennes-le-Château przybył nowy proboszcz, Bérenger Saunière. Podczas prac

remontowych w swoim kościele odkrył pewnego dnia coś, co sprawiło, że stał się jednym z najbogatszych ludzi w południowej Francji. Jednocześnie razem ze swoją gospożą nocami, w tajemnicy, rozkopywał miejscowy cmentarz. Czego szukał? Czyżby czyjeś grobu?

Tuż przed śmiercią proboszcza posłano po ojca Jeana Rivière’a, by ten wyspowiadał umierającego Saunière’a i udzielił mu ostatniego namaszczenia. Faktem jest, że ojciec Rivière wyszedł z pokoju umierającego „blady jak ściana”. Drżały mu ręce i nie mógł wydusić z siebie nawet jednego słowa. Co zadziwiające, nie dał Saunière’owi rozgrzeszenia ani nie udzielił mu ostatniego namaszczenia. Ojciec Rivière do końca życia milczał i nie zdradził nikomu ostatnich słów proboszcza Rennes-le-Château. Ale też pod wpływem tej rozmowy zamieścił w swym kościele wiele symboli, które do dziś stanowią tajemnicę. Jedną z nich były figury dwóch Jezusów. Jeden z nich leżał martwy w grocie, drugi był ukrzyżowany i miał otwarte oczy.

Do kogo mógł należeć znaleziony przez Saunière’a skarb i czy były to kosztowności? Możliwe, że do wspomnianych już templariuszy. W 1285 roku, gdy zmuszeni zostali do opuszczenia Palestyny, grupa templariuszy przybyła do wioski w pobliżu Rennes-le-Château. Jakby tego było mało, zaledwie 60 km od wioski znajdują się ruiny twierdzy Montsegur, ostatniego bastionu katarów-heretyków, których zwalczał Kościół ze względu na ich postrzeganie Jezusa przez pryzmat człowieka. Według legendy czterech innowierców podczas oblężenia w 1244 r. wymknęło się z bezcennym skarbem. Mogli dotrzeć do Rennes-le-Château.

Skarbem nie musiało być złoto, lecz coś wartościowego w sensie wiary, coś, co podważało dogmaty ustanowione już wcześniej na licznych soborach... A jeśli stulecia później wpadło to w ręce biednego proboszcza, ceną za milczenie mogło być dostatnie życie na koszt Watykanu.

Święty Graal to nie tylko przedmiot, teorie spiskowe, tajemnica. To symbol boskości, duchowości, czegoś ponadludzkiego, nie z tego świata. I tak należy go postrzegać, a przez to dążyć samemu do odnalezienia w życiu takiego duchowego Graala... ■

WIĘKSZA MASA DOSTĘPNA LEGALNIE

To może być trochę jak jazda pociągiem nocą, w trakcie zmiany czasu z zimowego na letni. Czas podróży nie ulega zmianie, ale czas przybycia na miejsce... owszem. Co się stanie, jeśli w tym roku wszyscy posiadacze praw jazdy kat. B będą mogli legalnie prowadzić auta cięższe niż 3,5-tonowe? Brzmi wyśmianie. Technologiczna rzeczywistość może okazać się jednak bardziej prozaiczna i przyjemna.

Tekst: Radosław Czerwiński

Zdjęcie: Magda Pater

DMC to skrót od Dopuszczalna Masa Całkowita pojazdu określona w ustawie „Prawie w ruchu drogowym”. Oznacza łączną masę pojazdu lub zespołu pojazdów wraz z masą ładunku i osobami podróżującymi, deklarowaną jako dopuszczalną na drodze procesu homologacyjnego. Można ją znaleźć w dowodzie rejestracyjnym auta w rubryce „F”. W przypadku miejskiej Toyoty Aygo 1.0 wpisane jest tam 1240 kg przy masie własnej 875 kg. Toż to pchełka w porównaniu z niektórymi osobowymi SUV-ami prawda? Dlatego ustawodawca rozszerzył margines do 3500 kg. Dzięki temu wielu z nas jeździ małymi busami, samochodami dostawczymi czy minivanami.

KAT. B, AUTO CIĘŻSZE

Okazuje się, że już w roku 2021 będziemy mogli zasiadać za kierownicą pojazdu ważącego do 4,25 tony. Jednakże: uwaga! Nowelizacja dotyczy pojazdów z napędem alternatywnym. Takowym dysponują m.in. samochody elektryczne, posiadające o wiele cięższe akumulatory od odpowiedników z napędem spalinowym. W tę „rubrykę” wpisać można również auta z ogniwami wodorowymi. Podobno już „niedługo” pojawią się one w większej liczbie na krajowych drogach, a w planach jest otwarcie... stacji ładowania wodorem. Obecnie są takowe dostępne w największych ośrodkach miejskich Polski (np. najbliższej Koszalin – w Gdańsku).

NO TAK! AKUMULATOR!

No to o co tyle hałasu? Auta wyposażane są w coraz bardziej nowoczesne systemy. To powoduje, że samochody naturalnie stają się coraz cięższe. W tym momencie producenci idą na kompromis. Ucinają kilogramy gdzie indziej. Z drugiej strony można zaobserwować trend do projektowania aut kontrastowo innych od wspomnianego Aygo. Cytując serwis moto.pl: „Nad Wisłę przyjeżdżają także giganci, których do tej pory nie było. I nie chodzi tu o auta klasy premium (np. konkurent GLS-a BMW X7), a propozycje marek popularnych, choćby Toyota Highlander albo Ford Explorer”. To jednak jedna strona medalu. Inna jest taka, że nowe, elektryczne akumulatory są cięższe od do tej pory używanych i to one zwiększają masę auta. Moto.pl podaje przykład: „Najmocniejsze Audi e-tron ma wpisane 2620 kg masy własnej (2695 kg z kierowcą),



a DMC to 3245 kg. Bardzo blisko granicy określonej przez polskie przepisy. I to nie Audi ma nadwagę, a wszystkie elektryki. Dłuższa wersja Mercedesa EQV, vana na prąd, ma wpisane równe 3500 kg DMC”.

ALTERNATYWNE ZASILANIE

Przy całym zachwycie nad nowymi przepisami trzeba pamiętać, że posiadacz prawa jazdy kategorii B może legalnie zasiadać za kierownicą auta powyżej 3,5 t, tylko jeśli ten pojazd zasilany jest paliwem alternatywnym. Używane do tej pory dostawczaki, minivany i busy ważące powyżej 3,5 tony, napędzane tradycyjnym paliwem muszą być prowadzone przez kierowców posiadających kwalifikacje. Mało tego! Pandemia koronawirusa sprawiła, że nie wiadomo, kiedy opisane przepisy wejdą w życie. Aha. Żeby sobie cięższym pojazdem pokierować legalnie, to prawo jazdy trzeba mieć od co najmniej dwóch lat. ■

TALENT, WRAŻLIWOŚĆ I AFIRMACJA URODY ŚWIATA

29 kwietnia cały świat obchodzi Międzynarodowy Dzień Tańca, który jest również świętem zakochanych w sztuce tanecznej ludzi. A do tego grona należy z pewnością Grażyna Mulczyk-Skarżyńska, znana koszalińska choreografka, instruktorka, pedagog i psycholog, dla której taniec jest wielką życiową pasją, niewyczerpanym źródłem radości i skutecznym lekiem na całe zło tego świata.

Tekst: Izabela Nowak

Zdjęcia: Elżbieta Missok, Izabela Rogowska, archiwum prywatne

RODZINNY GEN TAŃCA

Taneczna pasja obecna jest w mojej rodzinie od pokoleń – mówi Grażyna Mulczyk-Skarżyńska. – Tańczyła moja mama, ciocia, młodsza siostra, dwie córki mojego brata. Kto wie, może w nasze ślady podąży także moja półrocza obecnie wnuczka? Byłoby wspaniale!

Już jako energiczna i żywiołowa siedmiolatka Grażyna zaczęła rozwijać swoje taneczne umiejętności na zajęciach z rytmiki. Następnie przyszedł kilkuletni okres fascynacji gimnastyką artystyczną i ogólnopolskie sukcesy. Ale podczas studiów pedagogiczno-psychologicznych we Wrocławiu Grażyna zatęskniła za tańcem. Udział w castingach przyniósł jej taneczne role, m.in. w „Jeziorze Łabędzim”, wystawianym w Operze Wrocławskiej, oraz w głośnym spektaklu „Anna Livia”, opartym na dziełach Jamesa Joyce’a.

– To było niesamowite przeżycie i bardzo cenne doświadczenie – wspomina Grażyna. – Ale po skończeniu studiów zapragnęłam prowadzić młodzieżowe zespoły taneczne i realizować swoje własne wizje artystyczne... I tak się stało. W Oleśnicy i we Wrocławiu powołałam dwie młodzieżowe grupy taneczne o wspólnej nazwie „Impuls”, specjalizujące się w nurcie modern jazz, wówczas bardzo modnym i bliskim mojemu sercu.

Dziś Grażyna Mulczyk-Skarżyńska jest taneczną multispecjalistką. Na licznych kursach zgłębiała tajniki różnorodnych gatunków: afro dance, disco show, tańców ludowych, narodowych, irlandzkich i orientalnych. Uczestniczyła również w zajęciach choreoterapii, prowadzonych w poznańskim Teatrze Tańca przez Ewę Wycichowską. Obecnie znajduje się pod urokiem bajecznie kolorowych i energetycznych tańców spod znaku Bollywood.

– Pragnęłam zostać autorytetem w dziedzinie tańca i mam nadzieję, że właśnie tak się stało – konkluduje Grażyna Mulczyk-Skarżyńska. – Ale to wymagało naprawdę ciężkiej pracy! Jednak satysfakcja z realizacji życiowych pasji wynagradza i pot, i łzy...

SPEŁNIONE MARZENIA

Chociaż Wrocław należy do najpiękniejszych polskich miast, Grażyna marzyła, by zamieszkać nad morzem. Koszalin zauroczył ją zielenią parków, kolorowymi kamieniczkami i nie musiało minąć wiele czasu, by stał się jej miejscem na ziemi. Tu poznała



swojego męża, tu urodzili się jej dwaj synowie, wspierający i podziwiający swoją oryginalną, roztańczoną mamę.

W latach 80. Grażyna założyła dwa dziecięce zespoły taneczne. Pierwsze były „Wirusy”. Skąd ta nazwa? Otóż marzeniem Grażyny było „zarażenie” miłością do tańca całej ziemi koszalińskiej. I chyba się udało... Kolejną dziecięcą grupą była „Igraszka”. Roztańczone dzieciaki swoją żywiołowością, spontanicznością i wdziękiem podbijały serca publiczności. Zdobywały również



czołowe miejsca na konkursach i festiwalach tanecznych z prestiżowymi Ogólnopolskimi Konfrontacjami Dziecięcych Zespołów Tanecznych w Koninie na czele.

Bardzo miło wspominać ten czas – mówi Grażyna. – Praca z dziećmi to sama radość! Są takie ciekawe świata, chłoną wiedzę jak małe gąbki, z łatwością zapamiętują choreograficzne układy, są pełne energii, szczerze w wyrażaniu emocji, wiecznie roześmiane i naprawdę bardzo zdolne. No tak, w tym wieku nie ma rzeczy niemożliwych.

Mijały pełne sukcesów lata i dla Grażyny rozpoczął się czas współpracy z młodzieżą. Z myślą o dziewczętach marzących o karierze modelek założyła „Studio Ruchu Gracja” i „Szkołę Wdzięku”. A ponieważ przyszłe modelki pragnęły realizować się nie tylko na wybiegu, ale również w tańcu, zaproponowała im pokazy taneczne w ulubionym przez młodzież stylu disco show. Jednocześnie współpracowała przy organizacji wspaniałych widowisk, jakim były „Gale Baletowe” odbywające się w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym z inicjatywy znakomitego artysty Walerego Niekrasowa. A wraz z galami w jej życie wkroczył nowy taneczny nurt – krystalicznie czysta klasyka. Przez kilkanaście lat Grażyna Mulczyk-Skarżyńska była również kierownikiem Polonijnych Warsztatów Edukacyjno-Artystycznych, realizowanych w ramach corocznych koszalińskich imprez polonijnych. Z radością wprowadzała najmłodszych gości w przebogaty świat polskiej kultury.

CZAS DOJRZAŁYCH PAŃ

Kolejna artystyczna pasja, jaką dla Grażyny Mulczyk-Skarżyńskiej stała się współpraca z dojrzałymi tancerkami, rozpoczęła się właściwie przypadkiem – od opracowania ruchu scenicznego na pokaz mody z udziałem dojrzałych pań. Nietypowe modelki były tak zachwycone swoim występem, że zapragnęły kontynuować sceniczną przygodę. I właśnie tak rozpoczął się nowy etap w zawodowej karierze Grażyny. Przez 10 lat prowadziła zespół „Gracja” przy Uniwersytecie Trzeciego Wieku Politechniki Koszalińskiej, złożony z pań, które tanecznym krokiem wkroczyły w swą drugą młodość, zapisując jednocześnie na swoim koncie wiele sukcesów. Wśród nich są czołowe nagrody zdobyte na Ogólnopolskich Juwenaliach III Wieku w Warszawie – największej i najbardziej prestiżowej imprezie, prezentującej dokonania amatorskiego ruchu artystycznego seniorów.

Specjalnością „Gracji” stały się tańce ludowe i narodowe z majestatycznym polonezem na czele. W ich repertuarze znalazł się również m.in. ognisty kankan i efektowny taniec cygański.

Przez tę różnorodność staramy się wciąż rozwijać nasze taneczne umiejętności – mówiła w 2012 roku Grażyna Mulczyk-Skarżyńska. – Cieszę się, że panie poznają taniec, jego urodę i żywiołowość, że właśnie taniec pozwala im najpełniej wyrazić siebie, że jest źródłem radości nadającej życiu nowy artystyczny wymiar. Wówczas o wiele łatwiej jest pokochać siebie...

PIĘKNE LATA Z „SZYKIEM”

Od ośmiu lat Grażyna Mulczyk-Skarżyńska prowadzi kilka grup w ramach Formacji Tanecznej „Szyk” działającej w Centrum Kultury 105. Ten projekt adresowany jest również do dojrzałych pań, połączonych taneczną pasją i pragnieniem artystycznej ekspresji.

Pełne pozytywnej energii tancerki przybliżają publiczności różnorodne konwencje i stylistyki taneczne. Specjalizują się w tańcu orientalnym i nowoczesnym z elementami jazzu, pięknie tańczą andaluzyjskie flamenco, zauroczyły się również subtelnym walcem wiedeńskim. Perfekcyjnie opanowały także tańce bollywoodzkie, równie widowiskowe i radosne, jak trudne technicznie, które – zdaniem Grażyny – są „wspaniałym antidotum na trudne czasy pandemii”. Tancerki znakomicie posługują się rekwizytami – woalami, wachlarzami i laseczkami. Dodajmy jeszcze efektowne sceniczne stroje, znakomicie dobraną muzykę, perfekcyjnie dopracowane i bardzo widowiskowe układy choreograficzne autorstwa Grażyny Mulczyk-Skarżyńskiej i można być pewnym, że koszaliński „Szyk” – znany, lubiany i podziwiany – prezentuje taniec najwyższej próby. Swoistym znakiem firmowym tej grupy jest więc doskonale opanowany warsztat i umiejętność prezentacji różnych nurtów w sztuce tanecznej.

– Miłość do tańca pozwala otworzyć się na nieznaną dotychczas zjawiska i docenić urodę świata. Dodaje blasku rzeczywistości – mówi Grażyna Mulczyk-Skarżyńska. – Wspólnie z tancerkami z „Szyku” zmieniamy nasz osobisty świat, uwalniając siłę i energię niezbędną zarówno do tańca, jak i do pięknego, radosnego i twórczego życia. Wspólnie poszukujemy szczęścia, chociaż każda z nas ma swój indywidualny model. Ale oczekiwania są wspólne. Nikomu życie nie szczędzi trudnych chwil, teraz zmagamy się pandemią, ale dzięki tańcowi łatwiej przetrwać ten szczególny czas.

SPEKTAKULARNE WIDOWISKA I SUKCESY

Artystyczną wizytówką formacji „Szyk” stały się perfekcyjnie przygotowane i gorąco oklaskiwane przez widownię widowiska taneczne. W 2016 roku koszalińska publiczność miała okazję po-



dziwiać piękno i różnorodność tańca orientального, uczestnicząc w widowisku „W orientalnym rytmie”. Ten wyjątkowy wieczór uświetniły solowe pokazy znakomitych artystek, specjalizujących się w tańcu orientalnym – Marty Nowickiej z Gdyni i Joanny Maculewicz z Koszalina, a pełne pasji tancerki z formacji „Szyk” przybliżyły publiczności różnorodne konwencje i stylistykę tańca orientального. Można było się przekonać, że taniec orientalny, oprócz ogromnej różnorodności, jest również eksplozją zmysłowości, kobiecości i pozytywnej energii. Może właśnie dlatego zdobywa coraz więcej wiernych „wyznawczyń” na całym świecie?

Równie efektowne okazało się widowisko „Światło i wdzięk”, przygotowane z okazji jubileuszu 5-lecia zespołu. Koszalińskie tancerki zaprezentowały pełnię swych artystycznych możliwości, prezentując zarówno liryczne, jak i dynamiczne układy choreograficzne. Gorąco oklaskiwanym przebojem okazał się spektakularny taniec ze złotymi skrzydłami Izis. Można więc być pewnym, że kolejny taneczny wieczór – „Dar dla Miasta”, przygotowywany obecnie przez Grażynę i formację „Szyk”, także okaże się artystycznym wydarzeniem. W programie znajdzie się 18 widowiskowych tańców, a wśród nich „Taniec wirusa”. Bowiernie także trudny czas pandemii może stać się inspiracją do artystycznych poszukiwań.

Panie z formacji „Szyk” mogą poszczycić się nie tylko wspaniałymi widowiskami, ale także spektakularnymi sukcesami. Zdobywały czołowe nagrody na Ogólnopolskim Przeglądzie Twórczości Artystycznej Seniorów w Warszawie, podbijały również serca jurorów podczas międzynarodowych festiwali tanecznych. W 2019 roku udział „Szyku” w XXV Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym „Balkan Folk Fest” w Złoty Piaskach przyniósł im najwyższe trofeum: Złoty Dyplom i statuetkę Złoty Żagiel. A warto podkreślić, że w konkursowej rywalizacji koszalińskiej formacji udało się pokonać znakomite zespoły taneczne z całego świata.

W jaki sposób można osiągnąć tak znakomite rezultaty? Grażyna Mulczyk-Skarżyńska podzieliła się swoją „receptą na suk-

ces”: – Myślę, że kluczem do sukcesu jest ambicja, konsekwencja, dążenie do realizacji określonego celu – powiedziała. – Ważne jest również towarzyszące nam pragnienie odnalezienia piękna w codzienności i afirmacja urody świata.

NIE TYLKO TANIEC...

Chociaż sztuka taneczna jest z pewnością największą artystyczną miłością Grażyny Mulczyk-Skarżyńskiej, w jej życiu od dawna istnieje kolejna twórcza pasja. To poezja, towarzysząca Grażynie przez całe dorosłe życie. Obecnie ma na swoim koncie nagrody zdobywane w konkursach literackich oraz trzy poetyckie tomiki: „Chodź”, „W cieniu ze światłem” i „Nie z tego ogrodu”.

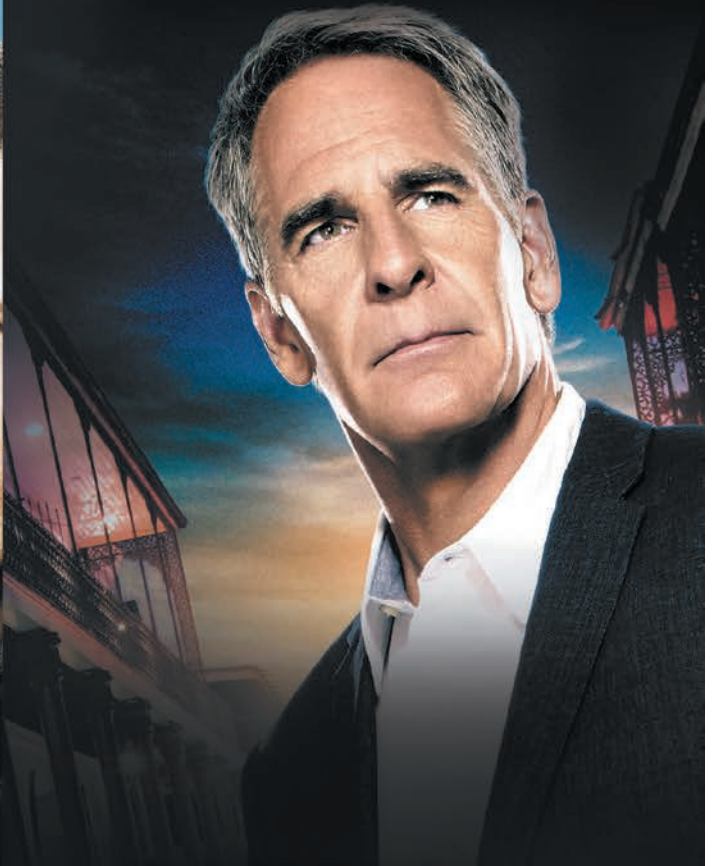
Inspiracją poetyckiej twórczości Grażyny Mulczyk-Skarżyńskiej jest życie w całej swej złożoności, nieprzewidywalności, pięknie i tragizmie. Jej wiersze są refleksyjnym komentarzem i poetycką reakcją na wydarzenia niesione przez kolejne dni. Te motywy, literacko przetworzone i ubrane w poetycką metaforę, można odnaleźć w wierszach jej autorstwa.

– Cały czas istnieje we mnie potrzeba literackiej wypowiedzi – mówi Grażyna. – Poezja wciąż „puka do mojej duszy” i czasami po prostu nie można się przed nią obronić, chociaż przyznam, że próbowałam uwolnić się od tego wewnętrznego imperatywu. Dlaczego? Poezja wymaga zadumy, wyciszenia, autoanalizy, z której trudno się czasem wydostać. Obawiałam się, że ustawiczne zagłębianie się w siebie oderwie mnie od realnego życia, które kocham i afirmuję całym sercem. Zajęłam się więc swoją drugą artystyczną miłością – tańcem, który stał się moim sposobem na życie, umożliwiającym czerpanie radości z każdej chwili. Ale te dwie artystyczne pasje – taniec i poezja – wzajemnie się splatają, uzupełniają i pomagają mi w realizacji marzeń. Poetycka wrażliwość pozwala mi lepiej zrozumieć świat, odczytać, co też moim tancerkom „w duszy gra” i wykreować głęboką wspólnotę artystycznych przeżyć. ■





Agenci NCIS: Los Angeles



Agenci NCIS: Nowy Orlean

13
ULICA

Kryminalne wieczory

NA KANALE 13 ULICA
OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU

© NBCUniversal 2021

OGŁĄDAJ NA POZYCJI 9



TELEWIZJA
KABŁOWA KOSZALIN
SPÓŁKA Z O.O.

INSPIROWANE KUCHNIĄ INDYJSKĄ...

Tym razem na przystawkę proponujemy wam puszystą, prostą i aromatyczną zupę, idealną na nadchodzące ciepłe dni. To danie zdobędzie na pewno uznanie wśród wielu wegetarian. Curry w połączeniu z kalafiorem zyskuje intrygujący smak i jest to również dobra alternatywa na obiad. Danie głównie również kojarzy się z Indiami – kurczak tikka masala, potrawa, która tak naprawdę pochodzi z Wielkiej Brytanii. Delikatny, soczysty kurczak w gęstym i pysznym sosie. Oprócz wyraźnych przypraw, to kolory i zapachy nadają charakter temu daniu. A na deser szef kuchni Marcin Wolny serwuje coś, co można nazwać niebem w gębie – smażone owoce z kruszonką mleczną i paloną białą czekoladą. Przepis na kruszonkę pochodzi z książki Restauracji Noma w Kopenhadze.



KREM Z KALAFIORA Z CURRY (PORCJA NA 3-4 OSOBY)



Składniki:

główka kalafiora
duża cebula
2 ząbki czosnku
1 l mleka
śmietana 36%
płaska łyżka pasty z żółtego curry (lub zamiennie czubata łyżka przyprawy curry w proszku)
sól, cukier – do smaku

Sposób przygotowania:

Z kalafiora wycinamy głąb, resztę kroimy na mniejsze kawałki, wrzucamy do garnka razem z obraną i pokrojoną cebulą i czosnkiem, zalewamy mlekiem i śmietanką, i zagotowujemy. Gdy kalafior będzie już miękki i zacznie się rozpadać, dodajemy curry i na ciepło blenderujemy do uzyskania gładkiej konsystencji.

KURCZAK TIKKA MASALA Z RYŻEM JAŚMINOWYM (2 OSOBY)

Składniki:

duża pierś kurczaka
100 g jogurtu naturalnego
ok. 10 g soli
czubata łyżka przyprawy garam masala (trudno dostępna w sklepach, więc można ją wykonać samodzielnie)

Przyprawa garam masala:

6 liści laurowych
4 łyżeczki ziaren kolendry
łyżeczka kminu rzymskiego
łyżeczka pieprzu w ziarnach
łyżeczka goździków
łyżeczka cynamonu
łyżeczka suszonego imbiru
łyżeczka gałki muszkatołowej



Sposób przygotowania przyprawy:

Wszystkie przyprawy oprócz gałki muszkatolowej i liścia laurowego wrzucamy na szeroką patelnię i od zimnej zaczynamy je prażyć na średnim ogniu przez ok. 4-5 min. Na sam koniec prażenia dodajemy mieloną gałkę muszkatolową i liść laurowy, całość przesypujemy do młynka do kawy lub móżdżierza i mielemy lub ucieramy na puder. Trzymamy w szczelnym pojemniku.

Sposób przygotowania kurczaka:

Kurczaka oczyszczamy i kroimy w grubą kostkę ok. 2 x 2 cm. W misce obok mieszamy jogurt, przyprawę garam masala i sól. Przerzucamy kurczaka do miski i dokładnie mieszamy go z marynatą. Kurczaka najlepiej zamarynować dzień wcześniej, a dzień później piec go w 180 stopniach przez ok. 12 minut w piekarniku.

Sos tikka masala:

cebula
2 ząbki czosnku

ok. 400 g pomidorów krojonych w puszcze
papryczka chilli
łyżka przyprawy garam masala
płaska łyżeczka cynamonu mielonego
sól, cukier i pieprz świeżo mielony – do smaku
olej do smażenia

Sposób przygotowania:

Na patelni rozgrzewamy olej i przesmażamy na nim pokrojoną w kostkę cebulę, czosnek i posiekane chilli, gdy wszystko zacznie się rumienić, dodajemy cynamon i garam masala, chwilę smaży my i dorzucamy pomidory z puszek. Gotujemy do momentu odparowania większości wody, czyli gdy sos będzie miał jednolitą konsystencję. Doprawiamy na koniec solą, cukrem i pieprzem. Sos powinien być zarówno lekko kwaśny, słodki, jak i ostry.

Do gotowego sosu wrzucamy upieczonego wcześniej kurczaka, podajemy z ugotowanym ryżem jaśminowym, świeżą kolendrą i łyżką jogurtu.

SMAŻONE OWOCE Z KRUSZONKĄ MLECZNĄ I PALONĄ BIAŁĄ CZEKOLADĄ

Mleczna kruszonka:

100 g mleka w proszku
75 g mąki
75 g cukru
75 g masła rozpuszczonego
40 g skrobi kukurydzianej
5 g soli

Sposób przygotowania:

Wszystkie składniki połączyć w sypką masę i piec na płasko w 180 stopniach przez ok. 8 minut do zarumienienia.

Palona biała czekolada:

Tabliczka białej czekolady
Łyżeczka cynamonu

Sposób przygotowania:

Czekoladę zetrzeć na tarce na grubych oczkach, rozsypać na blaszce wyłożonej papierem i wsadzić do piekarnika nagrzanego do 180 stopni. Wypiekać przez ok. 8-10 minut, do uzyskania ciemnobrązowego koloru czekolady (trzeba jej uważnie doglądać, gdyż chwila nieuwagi i zrobi się czarna i gorzka). Po wyjęciu z piekar-



nika czekolada musi wystygnąć, po czym rozbijamy ją w grubym plastikowym woreczku tłuczkiem do mięsa, przerzucamy na sito, obsypujemy cynamonem i zostawiamy na kuchennym ręczniku na jakiś czas, żeby pozbyć się nadmiaru tłuszczu.

Smażone owoce:

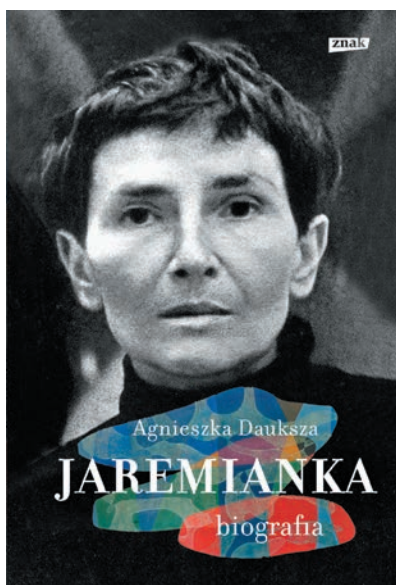
100 g borówek
100 g malin
2 szt. brzoskwiń
50 g cukru

Sposób przygotowania:

Na suchą patelnię wsypujemy cukier i powoli go karmelizujemy na brązowy kolor. Wrzucamy w niego obrane i pokrojone w kostkę brzoskwinie, borówki i maliny. Zalewamy delikatnie wodą w celu rozpuszczenia resztek karmelu. Na koniec dodajemy odrobinę mlecznej kruszonki i pozwalamy jej wypić odrobinę powstałego sosu, całość przekładamy do miseczki lub kokilki i obficie posypujemy mleczną kruszonką i paloną białą czekoladą.



Z szefem kuchni gotowała
Magdalena Wojtaszek
Zdjęcia: Magda Pater



GDZIE JEST MARIA?

Biografia malarki i rzeźbiarki Marii Jaremy nosi dwa tytuły. Na okładce mamy, że „Jaremianka, biografia”, ale na stronie tytułowej wewnątrz – „Jaremianka. Gdzie jest Maria?”. To pytanie autorki wielokrotnie wraca na stronach, zwłaszcza w początkach opowieści o tej zapomnianej nieco, a tak niezwyklej artystce.

Agnieszka Dauksza napisała tę biografię z bardzo kobiecego punktu widzenia. I może to pozwoliło jej jednak odnaleźć Marię? Jak mówi, artystka nie przywiązywała żadnej wagi do sposobu ubierania się (ale nie była zapuszczoną abnegatką, nic z tych rzeczy). Po prostu wystarczyło jej kilka sztuk odzieży, na ogół w czarnych kolorach, które nosiła do zużycia, dopiero wtedy zakupując nowe. Ale choć zamieszczone liczne zdjęcia także są czarno-białe, bo wtedy, przed 1939 rokiem i w czasach powojennych, inne raczej nie były – autorka szczegółowo opisuje każdy strój, podając kolory sukienki, bluzki czy beretu. W dodatku Jaremianka już przed wojną na co dzień nosiła spodnie, co wówczas budziło sensację. Ponadto autorka biografii – potocznie mówiąc – wielokrotnie „wczuwa się” w emocje malarki, próbując na podstawie szczątkowych informacji z drugiej ręki znaleźć przyczyny takich a nie innych decyzji, głównie tych życiowych, choć nie tylko.

Opowieść jest wielowątkowa, ze sporą liczbą dygresji. Poznajemy mnóstwo malarzy, literatów, reżyserów teatralnych, których nazwiska lśnią wciąż w pantheonie kultury polskiej i europejskiej. Maria trochę gubi się nam w tych niezliczonych wyjaśnieniach, nasświetleniach sytuacji, odbiegających od głównego nurtu opisach życia innych osób, a także perturbacji środowiska artystycznego Krakowa przed i po wojnie. Autorka podkreśla wielokrotnie nieuchwytność Marii Jaremy, niemożliwość opisanego jej stanów czy reakcji na różne wydarzenia. Malarka chroniła swój intymny – zarówno uczuciowy, jak i twórczy świat. Pisano wówczas wiele listów, kartek pocztowych, bo to była jedyna możliwość bieżącego kontaktu na odległość. Jaremianka pisywała głównie kartki – kilka lakonicznych zdań i więcej pytań o innych niż słów o sobie. Zbliżyła się do niej i do nas, czytelników, dopiero wtedy kiedy dopada ją to, przed czym trudno się obronić i co trudno już ukrywać. To śmiertelna choroba.

Doskonale udało się pokazać najtrudniejszy chyba okres w życiu Jaremiarki – lata powojenne, kiedy sztuka nowoczesna, w tym malarstwo abstrakcyjne nie liczyły się. Zapanował realizm i za chwilę socrealizm. Ona i inni artyści czekali po ponurych latach wojny na wolność i możliwość swobodnego tworzenia. Jak wiemy, długo nie było to możliwe. Co zrobiła Maria? Tworzyła całe pięć lat jak szalona, wiedząc, że nie wystawi swoich monotypii, nie sprzeda żadnej pracy. Wykazała niespotykaną odwagę i determinację, zamykając się w swojej pracowni i malując bez wytchnienia. Oraz nadziei. Nadzieja i sukcesy w końcu przyszły, jednak za późno.

Maria Jarema zmarła na ostrą białaczkę, była jedną z pierwszych, o ile nie pierwszą pacjentką leczoną przeszczepem szpiku od bliźniaka genetycznego. Dawcą była siostra bliźniaczka, którą choroba także dopadła, może wskutek stresu. Dziś to skuteczna metoda leczenia. Dla siostr zabrakło czasu.

Dana Jurszewicz



MANDARYNKOWY SEN

Choć muzyka elektroniczna jest raczej passé i bardziej kojarzy się z podkładowym nurtem ambient czy lounge, to w latach 70. ten nurt muzyki był w swoim rozkwicie poparty sukcesami finansowymi, a przede wszystkim równorzędnym traktowaniem ze strony krytyków i fanów. Była to muzyka do słuchania, a nie funkcjonująca jak „wypełniacz ciszy” przy czytaniu książek czy pracy biurowej. Czołowym zespołem, który był w zasadzie prekursorem tej muzyki, a który i do dziś funkcje, bez wątpienia jest niemiecki zespół Tangerine Dream – Mandarynkowy Sen. Nazwa celowo nawiązuje do psychodelii, bowiem początki elektroniki muzycznej bardziej kojarzyły się z delirycznymi plamami dźwiękowymi niż ze sformalizowaną muzyką. Powstanie tego nurtu powiązane było, oczywiście, z wynalezieniem instrumentów, których brzmienie uzyskiwano w wyniku zastosowania układów elektronicznych wytwarzających fale dźwiękowe. A więc po raz pierwszy zaistniała muzyka niefunkcjonująca jako gatunek bez prądu elektrycznego. Próbowano zastosować tego typu instrumentów w muzyce poważnej, ale bez większego sukcesu – publiczność zahartowana nawet Warszawską Jesienią nie dawała rady zdzierżyć godzinnych poszumów.

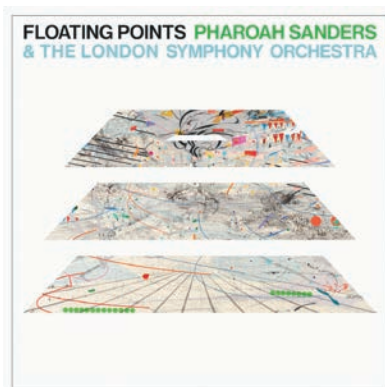
Pierwsze dokonania Tangerine Dream w zasadzie też polegały bardziej na eksperymentach i radości z akustycznej aktywności niż tworzenia prawdziwej melodyki. Jednak dość szybko zespół zdołał połączyć instrumentarium z muzycznymi zamysłami o wyraźnej, często wpadającej w ucho melodyce i jednoznacznym nastroju. Założycielem zespołu był Edgar Froese, który pozostał liderem grupy aż do swojej śmierci w 2015 roku. W początkowym okresie współtworzyli z nim muzykę Christopher Franke i Peter Bauman. Wtedy powstała płyta „Stratofear” jak wcześniejsze „Rubykon”, „Ricochet” i „Encore”, czyli jedne z najważniejszych płyt nie tylko zespołu, ale i muzyki elektronicznej w ogóle. Były to czasy, kiedy wydanie każdej z tych płyt było prawdziwym wydarzeniem w świecie muzyki europejskiej. W późniejszych latach zespół Tangerine Dream po wielu zmianach składu osobowego zaczął nie tyle wydawać, a produkować kolejne płyty – razem kilkadziesiąt.

Koncerty grupy w latach 70.-80. były o tyle osobliwe, iż w przeciwieństwie do innych zespołów muzyki rozrywkowej panował na nich wyjątkowy spokój. Po prostu trzech siedzących panów schylonych nad klawiszami przed siedzącą równie spokojnie publicznością, bo i jak tu skakać w rytm takiej muzyki. Później zespół sięgnął po efekty świetlne, laserowe i filmowe, by ożywić nieco statykę koncertów. Jeden ze znakomitych (muzycznie) koncertów odbył się w 1984 roku w Warszawie, który zarejestrowano na płycie „Poland”. W dobie zgrzebnej komuny było to niebywałe wydarzenie, tym bardziej że zespół nie mógł się spodziewać normalnego honorarium ze strony państwowego Pagartu.

Płyta „Stratosfear” zawiera cztery utwory z niesamowitą, trochę eklektyczną atmosferą niesamowitości, tajemnicy i zwiewnej lekkości. Nawet jeśli ktoś nie jest pasjonatem tego typu muzyki, choćby w celach poznawczych powinien choć raz posłuchać tego elektronicznego arcydzieła.

Robert Nawrocki

NIETYPOWA WSPÓŁPRACA



Spotkanie się światów jest zawsze arcyciekawe. Oczywiście, nie chodzi o spotkania trzeciego stopnia (choćby ciekawe, jakiej muzyki słuchają kosmici), a o światy muzyczne. Dziś będzie o płycie, która z marszu awansuje do grona albumów roku. Można było to stwierdzić w ciemno czytając, kto za nią stoi. Po premierze ta teza tylko się utwierdza. Na albumie „Promises” spotykają się światy elektroniki i jazzu, a wszystko okraszone jest klasycznym brzmieniem The London Symphony Orchestra. Brzmi zachęcająco?

Pharoah Sanders to żyjąca legenda jazzu. Jeden z niewielu prawdziwych żywych pomników (poza Herbie Hancockiem czy Sonny Rollinsem), którzy nie dość, że żyją, to jeszcze nagrywają. Ponad 80-letni Sanders poza swoimi niewątpliwie cudownymi albumami, ma na koncie nagrywanie m.in. z Johnem Coltranem czy z Ornette Colemanem. To bez wątpienia jeden z najwybitniejszych saksofonistów w dziejach. A Floating Points? To 35-letni Anglik, który zaczynał jako producent housowy, aby z czasem przechodzić w bardziej organiczną formę grania. Część z jego koncertów to 16-osobowy live band z liderującym Floating Pointsem, który staje za elektroniczną aparaturą. Co ciekawe, propozycja współpracy wyszła od Sandersa, którego zafascynowały dokonania Floating Pointsa. Zatem to „stara szkoła” szukała inspiracji w młodych a nie odwrotnie. W pandemicznym roku udało się zrealizować ten zamysł.

Płyta „Promises” to tak naprawdę jedna długa suita podzielona na dziewięć części, które płynnie przechodzą między sobą. Wszystko rozwija się bardzo powoli, budując klimat i napięcie. Ten klimat wzmaga obecność londyńskiej orkiestry choćby przez brzmienie smyczków. Ten album to to, czego szukam w muzyce. Bez żadnego szufladkowania na gatunki, z odwagą i otwartością wszystkich stron. Pharoah mógłby już żyć spokojnie na emeryturze albo grać swoje standardy. Jednak jego dusza artysty spowodowała, że nagrał jeszcze jedną genialną płytę, a młodszemu Floating Pointsowi pozwolił na nagranie na razie najlepszej rzeczy. Przed młodszym muzykiem jednak jeszcze wiele lat grania, a Sanders będąc u schyłku swojej kariery, pokazał, że wiek to tak naprawdę tylko liczba.

Genialna płyta, powalająca swoim klimatem. Tu wszystko płynie i ma swoje miejsce. Detale, solówki Sandersa czy klawisze Floating Pointsa są wręcz hipnotyzujące. Klasyka, jazz i elektronika. Brzmi surrealistycznie? Posłuchajcie więc Państwo „Promises”.

Mateusz Prus

KRZYŻÓWKA KWIETNIOWA

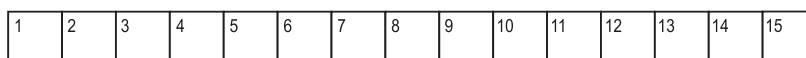
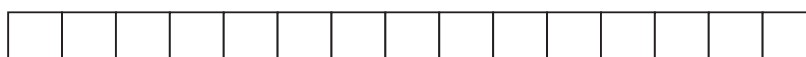
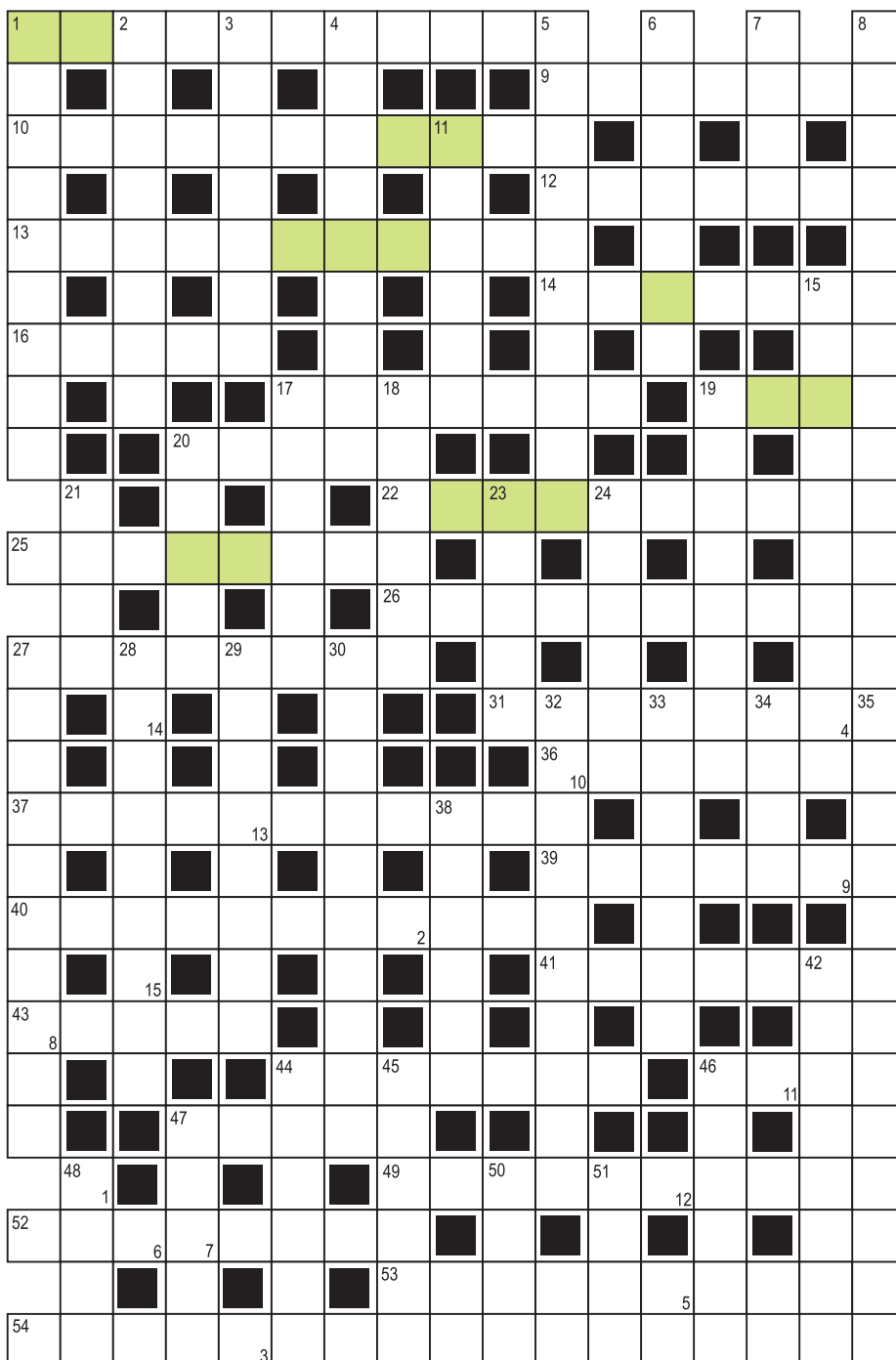
Zbitki liter z kolorowych pól górnej części diagramu, odczytane rzędami, utworzą tytuł obrazu polskiego malarza. Imię i nazwisko tego malarza, utworzą litery z pól dodatkowo ponumerowanych w dolnej części diagramu, napisane od 1 do 15. Życzymy przyjemnej rozrywki!

Poziomo:

- 1) dawne określenie dziennikarki
- 9) gra losowa (fantowa, pieniężna)
- 10) ciąg ulic w Warszawie, leżących wzdłuż lewego brzegu Wisły
- 12) rodzaj przewodnika turystycznego; wademekum
- 13) nędzne, tułaczce życie
- 14) lądowy skorupiak żyjący w szczelinach, w piwnicach (nie ma tylu nóg, jakby wskazywała jego nazwa)
- 16) matka warchlaków w pasiakach
- 17) Balladyna dla Aliny
- 19) ssak podobny do szczura; dydelf
- 20) chłonny, marynarski albo gordyjski
- 22) dawna nazwa przenośnego radia
- 25) czerwona rogatywka z piórkiem, obszyta barankiem
- 26) wykonawca jakiegoś planu, pomysłu, zlecenia
- 27) był nim lekkoatleta Marek Plawgo
- 31) podstawa używana przez składaczy czcionek w drukarniach (ze słów TAK LENIE)
- 36) bagaż podręczny, manele
- 37) podpatrywanie, podsłuchiwanie, śledzenie (przyjść na ...)
- 39) wyjmowana z kołczana
- 40) Irena (zm. 1990) polska aktorka dramatyczna, porównywana z Eleonorą Duse
- 41) aparat do prześwietleń
- 43) nowo wybrany prezydent
- 44) cios bokserki, który powala przeciwnika na ring
- 46) powstrzymanie się od jedzenia, zwłaszcza potraw mięsnych
- 47) najdłuższa rzeka Francji
- 49) bracia i siostry
- 52) bezrasowe koty
- 53) zwycięzca, czempion, rekordzista
- 54) parząca roślina zielna.

Pionowo:

- 1) palma dziko rosnąca na Malajach; pinang, areka
- 2) dawna broń palna o długiej lufie
- 3) kwestia sporna (zmień literę w słowie APOTEMA)
- 4) życie, egzystowanie
- 5) w staroż. Grecji: naczynko z glinu lub alabastru na wonności
- 6) boisko otoczone trybunami
- 7) biały ... czyli rzadki, osobliwy egzemplarz np. książki
- 8) kartka z życzeniami na Dzień Babci od wnuków
- 11) powietrzny autobus
- 15) dziecko, które ciągle by jadło i jadło
- 17) czwarta, piąta, ...
- 18) stół ofiarny do odprawiania mszy świętych
- 19) pot. kara pozbawienia wolności
- 20) wolny etat
- 23) ekranowy uwodziciel
- 24) dzienna lub nocna w zakładach o pracy ciągłej
- 27) w Księstwie Warszawskim: urzędnik podległy prefektowi
- 28) ktoś przedstawiający jakiś dowód np. czek w banku
- 29) urząd państwowy zagranicą
- 30) urządzenie medyczne nazywane sztucznym płucem
- 32) tajny wysłannik polityczny
- 33) bzdury, brednie, banialuki
- 34) krzew lub drzewo z rodziny skalnicowatych (zmień literę w słowie IDEA)



- 35) drapieżny ssak afrykański z rodziny psów; simir
- 38) imię twórcy kultowego kabaretu „Dudek” (1965-1989)
- 42) Clint, amerykański aktor i reżyser („Bрудny Harry”, „Za wszelką cenę”)
- 44) niedoświadczony, łatwowierny mężczyzna
- 45) w pokerze: cztery króle, cztery walety albo cztery damy

- 46) bliżej nieokreślony bohater w utworze literackim
- 47) Franciszek (1870-1948) węgierski kompozytor („Wesoła wdówka”, „Kraina uśmiechu”)
- 48) mądrzejsze od kury?
- 50) coś zdumiewającego; cudactwo
- 51) tytułowa bohaterka jednej z powieści Jane Austen.

AUTORYZOWANY PUNKT KOPIOWANIA KLUCZY

GERDA • LOB • WILKA • ABUS • MUL-T-LOCK

tel. 605 269 475

CZYNNE: 10.00-17.00 SOBOTA: NIECZYNNE

KOSZALIN, UL. WŁADYSŁAWA IV 22

(NISKI PARTER W WIEŻOWCU OBOK SKLEPU „INTERMARCHE”)



- **kodowanie kluczy do samochodów z immobilizerym**
 - przekładanie transponderów z kluczy wyrobionych lub złamanych - nowe obudowy do pilotów samochodowych
 - programowanie pilotów samochodowych
 - klucze tzw. scyzoryki oraz obudowy
- **sprzedaż: baterii do pilotów samochodowych i bramowych, wkładek, kłódek i breloczków do kluczy**
- **kopiowanie kluczy standardowych samochodowych oraz specjalnych - grawerowanych** (wszystkie marki i rodzaje)
- **naprawy zamków i stacyjek samochodowych**
- **zgubione ostatnie klucze - odtwarzanie na podstawie zamka lub stacyjki (również z kodu)**
- **przerabianie zamków samochodowych pod klucz klienta**
- **kopiowanie kluczy do motorów i ciężarówek**
 - blokad skrzyni biegów
 - alarmów i lasek samochodowych, bagażników dachowych
 - maszyn budowlanych, wózków widłowych, łodzi itp.
- **klucze do skrzynek listowych (nowych europejskich) oraz do skrzynek elektrycznych i alarmowych**
- **kopiowanie kluczy mieszkaniowych standardowych oraz specjalnych nawiercanych także atestowanych: gerda, lob, mcm, abus, kasta, abloy, wilka, evva, mul-t-lock, iseo, dom, vbh, chińskie, winkhaus, burg, bks, axa, kaba, keso**
- **ostrzenia (noże, nożyczki, cążki, tarcze do krajalnic, sitka i nożyki od maszynek do mięsa, sekatory, nożyce do blachy, ostrza do kosiarek)**



www.klucze.auto.pl

Tu znajdziesz **MIASTOPLUS**

Kawiarnie

- Park Caffè, ul. Asnyka 11
- Świat Lodów, ul. Zwycięstwa 43
- Kaliszczak, ul. Zwycięstwa 26a
- Kaliszczak, ul. Zwycięstwa 152
- So! Coffee, ul. Paderewskiego 1
- Kawiarnia Sowa, ul. 1 Maja 9a
- Koci Miętka, ul. Zwycięstwa 46

Restauracje

- Maredo, ul. Zwycięstwa 45
- Viva Italia, ul. Skłodowskiej-Curie 1-3
- Kukuryku, pl. Gwiazdzysty 5
- Piwnica pod Gryfami, ul. Piłsudskiego 28
- Projekt Kuchnia, ul. Piłsudskiego 6
- Studnia, ul. Mickiewicza 6
- Restauracja Fregata, ul. Podgrodzie 1a
- Bistro Loft7, ul. Jana z Kolna 7

Handel i usługi

- Telewizja Kablowa Koszalin, ul. Kotarbińskiego 3
- Biuro Podróży Turysta, ul. Andersa 2
- Galeria Emka, ul. Jana Pawła II 20
- Hotel Gromada, ul. Zwycięstwa 20
- Ilecki Nieruchomości, ul. 1 Maja 20/5

Zdrowie i uroda

- Panaceum, ul. Krzyżanowskiego 1
- Dermalogica, ul. Zwycięstwa 40
- Eliza Instytut Piękna, ul. Sikorskiego 4c
- Poliklinika Koszalin, ul. Szpitalna 2
- Szpital Wojewódzki, ul. Chałubińskiego 7
- Amadeus, ul. Modrzejewskiej 40
- Gabinet Bogurscy, ul. Boczna 11/5

Kultura

- Centrum Kultury 105, ul. Zwycięstwa 105
- Teatr Variete Muza, ul. Morska 9
- Koszalińska Biblioteka Publiczna, pl. Polonii 1
- Bałtycki Teatr Dramatyczny, pl. Teatralny 1
- Filharmonia Koszalińska, ul. Piastowska 2
- Centrum Rozrywki „Na Pięterku”, ul. Jana Pawła II 15a
- Galeria „Na Piętrze”, ul. Dworcowa 2

Biznes

- Centrum Biznesu, ul. Zwycięstwa 42
- Koszalińska Izba Przemysłowo-Handlowa, ul. Zwycięstwa 126

Inne

- Regionalne Centrum Informacji Turystycznej, ul. Dworcowa 11-15
- KSM „Przylesie”, ul. Fałata 13
- KSM „Na Skarpie”, ul. Na Skarpie 17

NASZE SKLEPY POZOSTAJĄ OWARTE!



Galeria Emka • ul. Jana Pawła II 20

Czynne od godz. 10.00

Best Meble • Koszalin, ul. Poprzeczna 6